



Foto: Grzegorz Galasiński

W tym sporcie nie traci się punktów — traci się zdrowie albo życie.

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Co dzień bliżej piekła

MAREK KOPROWSKI

Ciekawość jest ponoć pierwszym stopniem do piekła. Najbliżej przełożenia metafory ludowego porzekadła na język dosłowny są grotolazi. To oni, gnani ciekawością, wiażą w głąb Ziemi, penetrują dziury powstałe w wyniku ruchów górotwórczych i cierpliwą, tysiącletnią pracę wody. Niesyć wrażeń, wciąż szukają miejsc trudniejszych, jaskiń głębszych, najlepiej nie zbadanych do końca. Co dzień dalej, co dzień głębiej, co dzień bliżej piekła. Jeśli jednak jaskinie, które widziałem, są przedsiomkiem królestwa Belzebuba — to ja nie chcę gdzieś indziej. Takiej urudy, tak wspaniałej wyobraźni, z jaką natura tworzy podziemny świat, nie widziałem nigdzie na powierzchni. I to jest, jak dla mnie, główna zaleta sportu uprawianego przez grotolazów.

1.

Taternictwo jaskiniowe jest sportem wymagającym sprawności fizycznej, hartu ducha, odporności, wytrenowania, pokonywania strachu, opanowania i doskonałej techniki posługiwania się sprzętem. Również wyobraźni. Walka sportowa toczy się najczęściej w samotności, a gdy obok pojawia się drugi człowiek, jest on sprzymierzeńcem, a nie rywalem. Przeciwnikiem może być zarówno zmuszony kamień, jak i niepotrzebny pospolecz, brak doświadczenia, jak i śliska skała nad 30-metrową studnią, nadmierna pewność siebie i niesprawdzona linka, bravura i nieuwaga asekurującego kolegi. Zmaganiom towarzyszy milczenie ciemnych korytarzy, a jedyne dźwięki współbrzmieją z sukcesem, to kapanie wody, ciężkie oddechy i syk karbidowej lampki. Porażka w tym sporcie nie oznacza utraty punktów i premii pieniężnych, oznacza natomiast kalectwo lub utratę życia. Mimo to lub może właśnie dlatego, sport ten przyciąga wielu młodych ludzi (bo i kobiety też), chcących sprawdzić się, zmierzyć z samym sobą, pokonać strach i własną słabość, by w nagrodę zobaczyć cuda, jakie przyroda ukrywa zazdrośnie przed człowiekiem, odsłaniając je tylko nielicznym. Sami zainteresowani twierdzą, że wystarczającą satysfakcją daje możliwość uprawiania tego sportu, co w zestawieniu z innymi, suto opłacanymi dyscyplinami — jawi się jako dziwactwo.

Ala, np. piłkarz i grotolaz, to dwie tak różne mentalności, tak odległe od siebie moralności i motywacje, że porównując je mogłoby obrazzić grotolazów, choć to twardzi i odporni ludzie, a nie rozkapryszony primadonny futbolowe, reagujące histerycznie na krytyczne publikacje prasowe. Ani mi to w głowie. Po kilku dniach spędzonych w towarzystwie „jaskiniowców”, nabrałem dla nich wielkiego szacunku i uznania.

2.

Krótki wyskok w jaskinie Jury Krakowsko-Wieluńskiej (kilkanaste kilometry od Częstochowy), był czymś więcej niż tylko treningiem w spenszowanym już i niezbyt trudnym dla zawodowców terenie. Spotkały się dwie ekipy, w celu wzajemnego poznania i „dotarcia się” w trudnych warunkach pracy — Jedna — to grotolazi z ośrodków wrocławskiego i warszawskiego, a druga stanowili filmowcy z łódzkiej WFO, w składzie: Jan Jakub Kolski, reżyser i operator filmowy, grotolaz z zamiłowania, autor m.in. pięciu filmów o jaskiniach i Jacek Duszyński, wytrawny operator kamery, debiutujący w dziedzinie speleologii, czyli badania jaskiń. Ekipa w tym składzie nakręciła dwa filmy o Jacku Pałkiewicz i jego szkole przetrwania, biorąc udział w karkołomnych zajęciach, a Jan J. Kolski szczył się dyplomem ukończenia kursu w tej włoskiej uczelni, kierowanej i założonej przez Polaka.

Obie ekipy wyruszają w czasie wakacji w Alpy austriackie, gdzie kontynuowane będą, w naturalnych wnętrzach, zdjęcia do filmu o grotolazach. Nie chcę zapeszyć, ale tam, w Austrii, będzie podjęta próba bicia jakiegos rekordów świata, bo i w tej dyscyplinie rekordy się ustanawia. Zostałem zobowiązany, by nie ujawniać szczegółów, dotrzymuję więc słowa, choć biurko mi świadkiem, że czynię to niechętnie. Jeśli wszystko się powiedzie, mam obiecanie pierwszeństwo w dostępie do informacji.

3.

Aby zejść w głąb Ziemi, w tym wypadku na 25 metrów, czyli 10 pięter wieżowca, bo tyle liczy głębokość pionowej studni jaskini „Koralowej”, trzeba się

Łódź Odgłosy tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 26 (1578)

ROK XXXI

25 CZERWCA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Dziurawa sieć gazowa, dziurawe jezdnie, odpadające balkony i tynki, dziurawe dachy, okna i drzwi, zatkałe ulice.

Łódź w reporterskim skrócie

W jednym z łódzkich podwórek wydarzył się tragiczny wypadek: babcia spadła z balkonu na trzecim piętrze i zabiła się. Wnuczek zawiśł na pretach i uratowała go matka. Stan balkonów nie tylko w śródmieściu Łodzi jest fatalny i grozi takimi właśnie skutkami. Rozpoczęto śledztwo, które ma ustalić

winnych zaniedbań, bo lokatorzy tego domu wielokrotnie sygnalizowali, że balkony są w fatalnym stanie i grożą katastrofą. Być może prokurator ustali winnych zaniedbań, ale jaką mamy gwarancję, że podobny wypadek nie wydarzy się w innym domu, na innym podwórku, przy innej ulicy. Remonty starych

— a przecież nie tylko, bo już na remonty i prawidłową konserwację czekają nowe domy — są poważnie zaniedbane i nie tylko w jednej kamienicy.

Postanowiliśmy zatem pokazać stan Łodzi w reporterskim skrócie. Na początek wybraliśmy trzy

sprawy: gaz, remonty w śródmieściu i komunikację. Też zresztą wycinkowo. Będziemy tą metodą chcieli pokazać wiele spraw. Będziemy też oczekiwali stanowiska ludzi odpowiedzialnych za te dziedziny życia. Próbowaliśmy wspólnie szukać sposobów rozwiązania tych spraw. Pomysłów mamy kilka, ale poczekamy na reakcję ludzi odpowiedzialnych. Oto relacje i uwagi naszych reporterów.

5

Zapowiada się atrakcyjna i bezpieczna

Będzie Olimpiada w Seulu

JOHN McBETHA

Najpierw obawiano się, iż Korea Północna będzie w stanie doprowadzić do bojkotu przez państwa komunistyczne Igrzysk Olimpijskich, które mają odbyć się w 1988 r. w Seulu. Potem doszło do ulicznych zamieszek — ulice stały się tak pełne demonstrantów i gazów łzawiących, iż zaczęto się zastanawiać, czy dwutygodniowe Igrzyska będą mogły w ogóle się odbyć. Dziś mimo wszystko polityka, która przez tak długo dominowała w sprawach olimpijskich, zaczyna ustępować miejsca samemu igrzyskom sportowym. Ostatecznie zdano sobie sprawę, iż polityczny kryzys został zażegnany, gdy Chiny i ZSRR — podobnie jak i inne kraje bloku wschodniego — zaakceptowały zaproszenie do wzięcia udziału w Olimpiadzie. Jedynymi krajami z radzieckiej orbity, które nadal nie podjęły decyzji są Kuba i Etiopia — pomijając jednak hawańskich bokserów, żaden z tych krajów nie należy do sportowych gigantów i ich nieobecność nie zaważy na przebiegu rozgrywek.

Na niezliczonych wieżowcach Seulu duże zegary odliczają dni, pozostałe do 17 września 1988 r., kiedy około 13 600 lekkoatletów i przedstawicieli rekordowej liczby 161 państw zbierze się na głównym stadionie olimpijskim na zorganizowanej z rozmachem ceremonii otwarcia Igrzysk. Nagle zaczęły liczyć się zegary na wieżowcach, nowe stadiony, sklepy pękające w szwach od olimpijskich upominków i niezliczone przedolimpijskie przyjęcia czy konferencje prasowe.

Wielu Południowych Koreańczyków nadal zastanawia się, jaki skutek dla kraju przyniosą Igrzyska i w jaki sposób zareagują na olbrzymią inwazję zagranicznych turystów w momencie, gdy zamknięty do tej pory kraj zaczął dopiero wydobywać się ze swej skorupy. Jeszcze dziś wyłączone ludzie, którzy ukończyli 40 lat mogą wyjeź-



11

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,

32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz

Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu

literackiego: Henryk

Pustkowski.

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowska, Marek

Koprowski, Jerzy

Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galański.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białecki,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadowski,

Grzegorz Gazda, Andrzej

Karolczak, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasiewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo

Prasowe RSW „Prasa-

Książka-Ruch” - 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

ficzne RSW „Prasa - Książka

- Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniej 23

Redakcja nie zwraca nie za-

zamówionych reklam i zastrze-

ga sobie prawo do skrótów. Za

treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla

Instytucji i zakładów pracy -

zlokalizowane w miastach woj-

wódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa -

Książka - Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

- Instytucje i zakłady pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa - Książka - Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. 2.

Dla indywidualnych prenumera-

tów - osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa - Książka - Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli. Osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach

w siedzibach Oddziałów RSW

„Prasa - Książka - Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

Przegląd prasy

Legendarny założyciel Krakowa i państwa Wiślan był prawdopodobnie normanńskim Warem. Nazywał się Grotho (Grotto) - Krak. W końcu VIII wieku przypłynął ze swoimi ludźmi przypuszczalnie z pruskiego ośrodka handlowego Truso (Elbląg).

Waremowie wybudowali grody na strumieniach i wysokich skarpach nadwiślańskich. Z tego względu, bądź z powodu kopca Grothona zwanego Krakiem, Morawianie lub Czesi przezwali ich „Wrszowcami” (od słowa „Wrsz” - kurhan, pagórek). Kopicie, pagórki był najstarszym znakiem rodu Wrszowców. Niektórym osobom nadawano imię Wrsz, Warsz (Vars). W drugiej połowie XIII wieku Warsz był kasztelanem krakowskim.

Ostatnim panującym księciem Wiślan był Dobromir. Jego córka, Emmilda, została żoną Bolesława Chrobrego. Zdarzenie to utrwalało w herbie Rawitów, który przedstawia książnicę unoszącą przez niedźwiedzia. Zawołanie „Rawa” może pochodzić od skandynawskiego „ravn” - porwać lub angielskiego „ravis” - porwać pannę. Wnukiem lub bliskim krewnym Dobromira był palatyn krakowski Sieciech.

Hipotezę o wareskiej genezie Krakowa wysunął na łamach „Kultury” (nr 23) Bolesław Kossecki. Przypomina on zdanie z raportu dyplomatycznego Ibrahima syna Jakuba (ok. 966 r.), że do Pragi przybywają „z miasta Croco Rusowie i Słowianie z towarzyszami”. Rusami nazywano wówczas normanńskich Waresów.

„Po likwidacji księstwa Wiślan, grody Wrszowców - w tym Tynieć oraz znajdujące się tam Rotundy - przeszły w ręce nowego władcy, Mieszka I i po części przekazane zostały klasztorom, na Górze Łassoty i w Tyńcu. Utrata księstwa i niektórych dóbr wpłynęła niewątpliwie na orientację polityczną całego rodu Wrszowców. Zarówno późniejsi Toporczycy, jak i późniejsi Rawici zdecydowanie popierali książąt mazowieckich, wrogów dynastii piastowskiej (Mieciw, Konrad), przychylając się do upadku Bolesława Śmiałego a osadzenia Władysława Hermana z Plocka”.

Należy tu uściślić, że w chwili śmierci Mieszka I (25 V 992) ziemia Wiślan z Krakowem nie należała jeszcze do państwa polskiego. Była pod zwierzchnictwem czeskim. Dopiero w 999 roku Bolesław Chrobry włączył Kraków do Polski.

Oprócz nadwiślańskich Wrszowców istniała druga gałąź, która osiadła na terenie Czech zachodnich i założyła tam księstwo Luczan. Na przełomie IX i X wieku Czesi zlikwidowali to państwo i część Luczan przeniosła się nad Wisłę. Dlatego chyba Konstanty Porfirogeneta pisał, że Wisła nazywa się Liczka, a mianem benedyktynski Widutind z Saksonii wymienił Słowian o nazwie Licikawiki. O dawnej obecności Luczan pod Krakowem świadczą nazwy miejscowości: Luczanowice i Luczyce.

Pozostali członkowie czeskich Wrszowców spiskowali przeciw Przemysławowi. W 1108 roku rozgromiono ich i wymordowano większość rodu. Resztki zbiegły do Polski i częściowo osiadły na Mazowszu. „Od ich rodowego imienia Warsz - jak pisze Benedykt Zientara - pochodzi nazwa Warszawy, której byli zapewne założycielami”. (Sąsiedzi i inni, Warszawa 1978, s. 45).

Na pieczęciach kasztelana krakowskiego Warsz z XIII wieku znajduje się krzyż równomierny z przekrzyżowanymi końcami ramion. Podobnie wygląda krzyż normanński (Szwecja) z początków XI stulecia.

Sensacyjna hipoteza Bolesława Kosseckiego pokazuje, jak nieprawdą wciąż jest nasza wiedza o dawnych dziejach. Przypomnę tylko, że dotąd przypuszczano, iż trzecia żona Bolesława Chrobrego - Emmilda, była córką księcia Milcena. A co do nazwy Licikawiki, to

Henryk Lowmiański tłumaczył ją jako: poddani Lesika, Lesikowice, Lesiki. (Początki Polski. Z dziejów Słowian w I tysiącleciu n.e., t. 5, Warszawa 1973, s. 488-490).

Normanowie byli niezwykle aktywni, wojowniczy i przedsiębiorczy. Odbijali dalekie wyprawy na wschód, zachód i południe. Około roku 1000 i ponownie w XIII wieku odkryli Amerykę. O tym drugim odkryciu wspomina traktat geograficzno-etnograficzny „Opis krajów” powstały najprawdopodobniej w latach 1255-1260. Anonimowy autor stwierdza, że na zachód i północ od Norwegii są dwie zamieszkałe wyspy (zapewne Islandia i Grenlandia) i dalej pisze:

„Oprócz tego jest wyspa odkryta w naszych czasach w północnej części omawianego kraju. Płyynie się na nią podwójnym statkiem tam i z powrotem przez okres pięciu lat. Wyspa ta jest rozległa, gęsto zaludniona, lecz przez pogan. Znajdują się tam, w piasku rzek i morza, wielkie ilości najlepszego złota. Ludzie ci w porze letniej nie znają nocnych ciemności, zimą natomiast zupełnie pozbawieni są światła dziennego”.

Cytowany traktat, którego odnalezienie w 1980 roku stało się sensacją naukową, omawia w miesięczniku „ZYCIE I MYSL” (nr 3-4) Jerzy Strzelczyk. Wzmianka o złocie wskazuje, że podróżnicy normanńscy dotarli w okolice Nowej Szkolnicy, Nowej Fundlandii i Labradoru. Jeden z nich przebywał tam przez dwa lata, a w połowie XIII wieku żył w Danii.

Autor traktatu był franciszkaninem lub raczej dominikaninem, brał czynny udział w chrystianizacji ludów nadbałtyckich. W rękopisie, powstałym chyba w Irlandii, następująco określa położenie Polski:

„Z Węgrami łączy się od strony północnej część Polski wschodniej, po której następują Prusy (Pruscia), sięgając na północny po Morze Śródziemne. Stąd od zachodu znajduje się znaczna część Polski, a od strony morza, na północ, leży ziemia zwana Pomorzem (Pomorania)”.

PROBLEMY WSPÓŁCZESNOŚCI

Od średniowiecza przechodzę do spraw współczesnych. W najnowszym miesięczniku „KONFRONTACJE” (nr 5) ppłk Wiesław Górnicki w rozmowie z J. Szczęsnym stanowczo odrzuca pogląd, że Polakom nigdy się nie udało. Podaje dwa pozytywne przykłady: reformę rolną i wojenne migracje ludności (w ciągu 13 lat połowa narodu zmieniła miejsce zamieszkania i najczęściej również zawód). Jego zdaniem, każde społeczeństwo musi przejść przez etap rozwoju ekstenzywnego. My jednak spóźniliśmy się o 20 lat z przejściem do gospodarki intensywnej. Na drodze dalszego rozwoju trzeba pokonać pewne bariery.

„Wymienie głęboko zakorzeniony egalitaryzm, beczenny jak stan świadomości na poprzednim etapie rozwojowym, lecz obecnie głęboko szkodliwy. Wymieni też barierę, o której mówię się najmniej i z największą niechęcią: tragicznie niski w skali kraju czas rzeczywistej pracy (dokładnie połowa czasu pracy w Japonii), niefrasobliwość w sferze społecznej (jeden kraj świata, w którym kobiety mają prawo do trzytygodniowego urlopu wychowawczego) bezprecedensowa w Europie łatwość uzyskiwania inwalidztwa (...). Podaje niniejszym receptę na drugą Japonię. Najpierw likwidujemy wszystkie uprawnienia społeczne, ustalimy tydzień pracy na 72 godziny, a urlop wypoczynkowy na sześć dni w roku. Następnie wprowadzamy konkursowy egzamin na wszystkich szczeblach szkolnictwa, tak wyśrubowany, że 4-8 proc. kandydatów popelnia samobójstwo. Przyjmujemy zasadę, że sędziwy portier, który przepracował u firmie 50 lat, zarabia trzykrotnie więcej niż najzdolniejszy konstruktor. Następnie przyjmujemy zasadę: nie pytaj, co może ci dać twoja firma, pytaj, co ty z siebie dałeś swojej firmie. Szanuj cesarza i wszystkich zwierzchników. Uprawiaj nawet dziesięć centymetrów kwadratowych ogródka. I już. Za głupie trzydzieści lat mamy nad Wisłą nowy Nippon”.

Nowoczesny rozwój wymaga elit intelektualnych. A tymczasem

sem nasze uniwersytety - w tym również Katolicki Uniwersytet Lubelski - przeżywają głęboki kryzys. Tak twierdzi na łamach „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” (nr 24) prof. dr hab. Jerzy Kłoczowski. Chwali on uniwersytety w Stanach Zjednoczonych.

„Uniwersytety amerykańskie są znakomicie wyposażone w biblioteki, sprzęt wszelkiego rodzaju - po prostu są dużo bogatsze od europejskich. Poza tym jest ich tak dużo i to do brzo, że jest to właściwa selekcja. Na każde stanowisko mają 10-20 wybitnych ludzi. To jest odwrotność sytuacji getta naukowego, gdzie jest jeden profesor mający jednego ucznia, który dziedziści po nim katedrę. Tam nieustannie ogłasza się konkursy na stanowiska profesorskie i profesorowie są ciągle w ruchu. A pierwszą zasadą dobrego uniwersytetu jest, że absolwent nie robi doktoratu na rodzinnym uniwersytecie, nie zatrudnia się też w zawodzie własnych absolwentów - jeśli tacy są, nazywają ich nawet bekartami. Efekty tych wszystkich cech: ogromnych pieniędzy, mobilności, konkurencyjności są nadzwyczajne. Jest rzeczą znaną, że w naukach ścisłych Amerykanie mają niemalże monopol na ważniejsze odkrycia. Ale i w mojej dziedzinie, to znaczy w historii średniowiecznej Europy, są znakomici, a często najlepsi”.

W krajach socjalistycznych początkowo też przywiązywano ogromną wagę do wykształcenia. A potem doszło do anomalii. Przykład radziecki przedstawia w kwartalniku „POLSKA MŁODZIEŻ” (nr 3-4) prof. Igor Bestużew-Lada, z którym rozmawiał Waldemar Siwiński.

„Kiedyś było wszystko proste. Jeśli ktoś gorzej się uczył, to zostawał robotnikiem. Zdolni szli na wyższe uczelnie. I do czego to doprowadziło? Co czwarty pracownik w gospodarce radzieckiej, to specjalista z dyplomem. A wykwalifikowanych robotników, po odejściu starszych na emeryturę, zaczęło brakować. Gospodarka zareagowała ostro. Masz dyplom - dostajesz 120 rubli. Nie masz dyplomu, a jesteś fachowcem - 250 rubli. W ogóle nie masz wykształcenia, ale zgadzasz się iść do ciężkiej roboty - możesz dostać 400, 500, a nawet 600 rubli. Czyli - represja za wykształcenie. Doprowadziło to do zamieszania wśród rodziców - nie wiadomo jak dalej kształcić dzieci, jaką drogę pomagać im wybierać. Rezultatem tego wszystkiego jest duże niezadowolenie”.

Igor Bestużew-Lada przypomina, że 60 lat temu w ZSRR aż 95 proc. ludności żyło w domach i mieszkaniach jednorodzinnych, w rodzinach patriarchalnych, wielopokoleniowych. Przewrót społeczny dokonał się dopiero w końcu lat sześćdziesiątych. W ciągu kilkunastu lat prawie 100 mln przemieściło się z wiosek do miast. Osłabienie kontroli społecznej spowodowało m.in. wzrost rozwodów. Na 3 mln zawieranych małżeństw przypada 1 mln rozwodów. W Moskwie i Nowogrodzie rozpada się połowa młodych małżeństw. Najważniejszą przyczyną jest alkohol. Do niedawna istniał ostrzy przymus picia wódki.

„Gdy wchodziłem do pokoju, w którym pito, zaraz dostawałem pełną szklankę... Wódka zajmuje dzisiaj pierwsze miejsce wśród przyczyn rozwodów. W liczbach wygląda to tak, że 2/3 wszystkich rozwodów następuje z inicjatywy kobiet i 2/3 zgłaszanych przez nie powodów i przyczyn to pijanstwo męża. Czyli wódka jest winna ponad 40 proc. rozwodów”.

Socjolog radziecki podaje, że w dziesięciu przypadkach na dziesięć młode małżeństwa w Związku Radzieckim zmuszone są mieszkać razem z teściami. Rozwój społeczny wymaga, żeby każda rodzina miała troje dzieci. Przy jednym dziecku społeczeństwo wymarłoby w ciągu tysiąclecia.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Rozwarte nożyce

Czy nie wzdragnie się w odruchu niechęci czytelnik, jeśli przeczyta, że przeżyliśmy ostatnio w Polsce dwa wydarzenia o doniosłym znaczeniu dla nadchodzących miesięcy i lat, albo jeśli zerknie się z określeniem tychże wydarzeń jako zwrotnych lub historycznych? Otóż z pewnością „odrzuć go” od takich sformułowań, ponieważ ludzie wiedzą z doświadczenia, że nie wszystko co w najlepszych intencjach zapowiedziano musi się spełnić co do joty, toteż niełatwo ulega się w nas wierze w optymistyczne prognozy i obietnice, zwłaszcza w otocze tzw. wielkich słów.

Osobiście skłaniam się również ku zdroworozsądkowemu sceptycyzmowi, chociaż zarazem sprzeciwiam się zdecydowanie zatwardziałej nieufności, wychodzącej z założenia, że każde ogólnopolskie przedsięwzięcie jest z góry skazane na niepowodzenie. Jest to przecież założenie absurdałne, o tyle tylko śluzne, że oczywiste, ogólnym nasileniem zieleń woli można każde przedsięwzięcie sparaliżować. Absurdałność założenia polega jednak na tym, że, jak sądzę, w społeczeństwie nie występuje patologiczna intensja działania na własną niekorzyść, lecz jedynie niezrozumienie dróg prowadzących ku poprawie, ponieważ są to drogi niezmiernie uciążliwe i na swoim początku nie przynoszące ulgi i wytchnienia.

Owszem, we własnym domowym gospodarstwie prawie każdy normalnie myślący człowiek zdaje sobie sprawę, że wzbogacenie się wymaga nie tylko doraźnych wyrzeczeń, np. oszczędności lub zwiększonego wysiłku pracy, ale w skali globalnej, państwowej - to prawda staje się mniej oczywiste, a nade wszystko rozmywa się w dość krętych wybiegach: „Tyłu pracuje, że ogół nie odczuje mojego obijania się”, albo: „Jeśli ukradnę, to społeczeństwo od tego nie zbiednieje”. Te przykłady, zresztą uproszczone, sformułowane brutalnie, w rzeczywistości jednak owa filozofia dorabiana do własnego postępowania przybiera nieraz dość formy wypowiedzi bardziej wysublimowane.

Wydaje mi się, że bez uwzględniania zróżnicowanych stanowisk społeczeństwa wobec spraw publicznych, można łatwo popaść w urzędowy optymizm, który przez wiele lat obowiązywał w komentowaniu oficjalnych uchwał i postanowień. Jest więc pocieszające, że zarówno w dokumentach VII Plenum KC PZPR, poświęconego sprawom kadrowym w połączeniu z postanowieniem przyspieszenia i bardziej konsekwentnego wdrażania reformy gospodarczej oraz rozwijania demokracji socjalistycznej, jak również w zwiększeniu prerogatyw i realnych możliwości działania nowo wybranych rad narodowych, z umiarem ocenia się wielkie, przecież potencjalne znaczenie partyjnych uchwał i z jednakowym umiarem daje się wyraz nadziejom na odczuwalnie pozytywne pożytki dla rad. Umiar ten świadczy właśnie o dostrzeganiu oporów i trudności na drodze dalszego naprawy Rzeczypospolitej.

W istocie bowiem coraz bardziej rozciągają się nożyce pomiędzy reformatorskimi intencjami odnowionego kierownictwa partii, a tzw. oporem materii, na który składają się konserwatywne, biurokratyczne nawyki różnych ogniw władzy administracyjnej różnych szczebli, a także podświadoma często obawa utraty pozycji, rozumianej jako dygnitarstwo i arogancja wobec ludzi zalegających, czy to w hierarchii służbowej czy też jako różnego rodzaju klientów i petentów. Podejrzewam, iż niektórym marzyłaby się sytuacja z dawnych „dobrych” czasów, kiedy zahukany pętnem, inną czapkę w ręce i przestępując z nogi na nogę marmolaty pokornie: „Dopraszam się łaski jasnie pana...”. Ludzie jednak zjadliwi i domagają się swoich praw.

Nie jest może najważniejszy ten psychologiczno-obejzajowy margines spraw, ale zawsze zastanawia, jak to się dzieje, mocą jakiej to selekcji negatywnej tak wielu osobnikom żyjącym najgłębszą pogardą dla tzw. zwykłego człowieka udaje się wdrapać na wysokie stołki i dorwać do intrzyknych źródeł. Czy z taką kadrą można np. budować lepszą przyszłość?

Uważam, tak zresztą jak od dawna to widzi znaczna część społeczeństwa, że dla zapobieżenia nikczemniemu kadr zarządzających należy bezwzględnie dawać pierwszeństwo dwóm cechom kandydata na stanowisko: kompetencji i osobistej uczciwości. Tak mało? Tak dużo, że aż rodzi się zwątpienie, skąd brać ludzi i jak się w nich rozeznąć!

A przecież bez fachowego i moralnego autorytetu najszerszych kadr kierowniczych nie uwiaryzają ludzie w dobre intencje władz najwyższych i nie udzielą reformie takiego poparcia, na jakie byłoby ich stać.

Oczywiście, przedstawiłem rzecz nieco skrajnie, z nieuniknioną publicystyczną przesadą. Już sam fakt, że w kierownictwie partii umocnił się nurt reformatorski i wyjawiona została publicznie determinacja konsekwentnego działania upoważnia do ostrożnego optymizmu i nadziei, że nożyce intencji i możliwości nie rozewrą się zbyt szeroko...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Dziewięćdziesiąt trzy procent stanu U-bootwaffe wysłało soba dna oceanów i mórz. Stało się tym samym swoistym momentem dla potomnych. I wtedy - to fakt historyczny - w beznadziejnej dla każdego okrętu sytuacji, nie dającej mu żadnej szansy wymknienia się pościgowi, dowódca U 852 kapitanleutnant Heinz Eck, podjął nieczłowieczną, samobójczą w skutkach decyzję... - pierwsza część dodatkowego rozdziału „Inkarnacji” LEONARDA, który wejdzie do trzeciego wydania powieści.

— Nawet nie wiedziałem, że zatrałem ostrość i dowcip. To niedobrze, jeśli tak jest. Ale być może wynika to nie z tego, że oziębiałem, tylko z tego, że czasy się zmieniają. Wpiew te konferencje miały charakter ostrych zmagania politycznych i same pytania też były o wiele ostrzejsze niż dzisiaj - mówi JERZY URBAN.

— Ponad cztery piate maturzystek w liceach, połowa w technikumach i jedna trzecia studentek uniwersytetu nie miała jeszcze nigdy stosunku seksualnego. Ale co czwarta panna młoda w łódzkich Urzędach Stanu Cywilnego jest w ciąży - o życiu intymnym uczniów i studentów pisze MIROSLAWA SARBINSKA.

— Rydz-Smigły był człowiekiem - mogę powiedzieć, gdyż zbadałem to wszechstronnie - ucieleśnieniem, a nie „przesadą”, prostolinijnym i szlachetnym, jeżeli komuś jeszcze dzisiaj takie określenie coś mówi. Był wspaniałym generałem... - opowiada CEZARY LEZANSKI, autor 800-stronicowej książki o marszałku Rydzu-Smigłym.

— Cierpliwość naszych trybunów ludowych została przez 12 lat nadwerżona, czemu dają oni wyraz przy okazji spotkań z władzami. Sprawa Grupy Oczyszczalni Ścieków odżywa również wtedy, gdy wojewodowie końską i poznańską podnoszą larum. Wszak ludność Wielkopolski pije wodę płynącą z Łodzi - artykuł WŁODZIMIERZA KUPISZA.

— Ja nie mam nic do ukrycia. W kwietniu, a był to miesiąc gorszy nawet niż przebiegły, zarobiłem 45 tysięcy złotych - JAN SADOWSKI wyjaśnia, czy można zrobić interes na makulaturze.

Coraz więcej chyba ludzi zdaje sobie sprawę z tego, że — jak to wyraził na łamach miesięcznika „Konfrontacje” Mariusz Gulczyński — „kompromituje się ostatecznie dotychczasowa metoda przewidywania kryzysu — polowiczna, zbyt wolna, inflacyjna, niekonsekwentna”. Przyznał to również KC PZPR w uchwale podjętej na niedawnym VII plenarnym posiedzeniu.

„W realizacji reform — stwierdza się w uchwale — wystąpiły subiektywne słabości i błędy. Zbyt wolno przebiegały prace nad konkretyzacją założeń II etapu reformy gospodarczej. Nie dość skutecznie okazały się metody i środki równoważenia rynku i ograniczania inflacji. Zaniedbania i opóźnienia wystąpiły we wprowadzaniu systemu płac lepiej wiążących dochody z wynikami pracy i poziomem kwalifikacji. Nie można zadowalać tempa zmian struktury ekonomicznej oraz w eli-

talizowaną postać socjalizmu biurokratycznego. Byłby to mianowicie socjalizm biurokratyczny oparty na zasadzie masowego terroru i zasadzie faktycznego jedynowładztwa”. Różne też są sposoby odchodzenia od socjalizmu biurokratycznego. Inaczej to robią na przykład Węgry, inaczej postępuje się u nas. Jedno jest wszakże pewne: dotychczasowe doświadczenia wyraźnie wskazują, że nie można dokonać postępu w reformowaniu gospodarki, jeśli jednocześnie nie zreformuje się życia politycznego i społecznego. Jednostronność reform, ukierunkowanie ich jedynie na sferę gospodarczą, musi nieuchronnie doprowadzić do ich fiaska. Taki jednostronny proces będzie niepełny, kulejący, polowiczny i niekonsekwentny. Coś takiego dzieje się u nas, mimo tego, że w uchwale VI plenarnego posiedzenia KC PZPR zadeklarowano i zaprogramo-

ideologii ruchu robotniczego. U nas niekiedy przez rewizjonizm rozumiano wszelkie poszukiwania nowych rozwiązań, organizowano gwałtowne poszukiwania rewizjonistów. Nie chciałbym, aby dziś szukano na siłę konserwatystów, ale przecież skostnienia nie można tolerować, jeśli się chce, aby reformy zwyciężyły. Tego skostnienia powinniśmy poszukiwać również i u siebie.

Dla powodzenia reform, dla postępu niezbędne są inicjatywy. Wielu ludzi — na własną odpowiedzialność — próbuje takie inicjatywy podejmować. I stają wobec muru nieufności, skostnienia, zasłaniania się przepisami, ciągłe istniejącego centralizmu, kiedy o rozwiązaniu w gminie muszą decydować w województwie, a w województwie — w stolicy. Biurokracizm bowiem boi się jak ognia samodzielną decyzji. Lepiej niech to będzie polecenie, czyjaś decyzja. Jeśli

to, co nas dzieli, by zjednoczyć się w obronie wspólnych, narodowych wartości. Ten Pakt spełni swoją rolę, jeżeli nawiąże do doświadczeń i zasad demokracji ludowej z lat 1944—1948, oczywiście bez powtarzania ówczesnych błędów”.

Inną propozycję zgłosił na VII posiedzeniu plenarnym KC PZPR Zdzisław Cackowski. Powiedział:

„Co musimy w tej sytuacji zrobić? Wydaje mi się, że jednym z możliwych kierunków jest wielowariantowość programowa. I więcej — wielowariantowość osobowa. Partia powinna oferować państwu różne programy do wyboru. W każdy taki wariant programowy zaangażowane byłoby ekipy koncepcyjno-realizacyjne. Ekipy określone, społecznie widoczne. Nieskuteczność programu pociągnęłaby przegrana polityczną określoną ekipę. Społeczeństwo spostrzegłoby więc u konkretną odpowiedzialność polityczną”.

Wprowadził Wiktor Klinecki — I sekretarz KW PZPR w Gorzowie Wielkopolskim — w oparciu o swoje głębokie przekonanie uznaje tę propozycję za mało wartościową, której realizacja nie poprawiłaby partii ani „kondycji politycznej”, ani wpływu w społeczeństwie, to mimo to uważam ją za wielce interesującą. W moim przekonaniu kluczem do rozwiązania problemów politycznych jest właściwe wykonywanie przewodniej roli partii. W mało dziś wspomnianym — jakby już zapomnianym dokumencie „Programie PZPR” z X Zjazdu partii stwierdza się wyraźnie:

„Zadania swe urzeczywistniamy metodami politycznymi — programowaniem, inspirowaniem i przekonywaniem, działalnością organizatorską, koordynującą i kontrolną; aktywnością naszych członków na wszystkich stanowiskach pracy zawodowej i społecznej”.

A nie komenderowaniem, zastępowaniem, wyręczaniem. Ale, aby tak przewodzić, trzeba mieć niebawale aktywne POP, niebawale aktywnych i doświadczonego, przygotowanych do walki ideologicznej i politycznej członków partii, którzy umieliby niekiedy samotnie walczyć z różnymi przeciwnościami tak ideowymi, jak i politycznymi. Ktożby się odpowiedzialni za realizację polityki partii, a co najważniejsze byli przekonani o jej słuszności i realności. Ba! Czy mamy wielu takich członków?

Nie jestem przeciwny Paktovi Antykrzysowemu. Ale nie bardzo wydaje mi się realna jego skuteczność. Historia zna wiele różnych powrotów, z restauracją monarchii włącznie. Tyle że to nie było to samo. Nawiązywać do doświadczeń z lat 1944—1948 można, ale niezbyt w to wierzę. Nie da się bowiem wykreślić i zapamiętać z najnowszej historii Polski lat 1949—1981 i następnych. Są one z sobą nierozdzielnie związane. Już starożytni odkryli, że do tej samej rzeki nie da się wejść dwa razy, za każdym razem będzie ona inna, choć niby ta sama. Tak i z tymi doświadczeniami. Trzeba raczej szukać rozwiązań nam bliższych, wynikających z istniejących obecnie warunków gospodarczych, społecznych, politycznych oraz ze stanu świadomości społecznej.

Pozostaje natomiast pytanie:

co zrobić z opozycją?

Myszę, że rozważania trzeba zacząć od tego, że opozycja jest tworem rodzimym, wyrosłym z naszych nieumiejętności dostrzegania i rozwiązywania sprzeczności. Jest instytucjonalnym, choć nielegalnym wyobrażeniem niezadowolenia. Poza tym nie należy opozycję traktować jako monolit, nie wrzucać wszystkich niezadowolonych do jednego worka z napisem: „wroóg”. Jeśli Pakt Antykrzysowy miałby być koalicją sił proreformatorskich, co wyrażałoby się w konkretnych działaniach, choć nie bardzo wyobrażam sobie jakich, a nie tylko we wspólnym gadaniu, to mógłby on powstać właśnie z sojuszu z tą częścią opozycji, która niezadowolona jest z tego, jak rozwiązujemy problemy, a nie z tego, że w ogóle je rozwiązujemy. Myszę, że trzeba pogodzić się z tym, że w miarę postępu demokracji będziemy zawsze mieli do czynienia z jakąś formą niezadowolenia. I, że to może mieć miejsce również w partii. Dlatego właśnie warto zastanowić się nad propozycją Zdzisława Cackowskiego.

Interfashion '88

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Z tej ziemi

Jak dalece skostniała nam biurokracja

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

istnieniu przestarzałych, nieskutecznych form organizacyjnych i systemów zarządzania w gospodarce. Z niemałym trudem toruje sobie drogę myślenie w kategoriach ekonomicznej racjonalności. Niewystarczająca jest skuteczność działania instytucji demokracji socjalistycznej, nie dość głęboki wpływ idei porozumienia narodowego na stosunki społeczne i postawy obywateli”.

W odczuciu ludzi niedostatki reformy gospodarczej

odbierane są bardzo wyraziście i prowadzą do niewiary w jej sens i realność. Tak zwany przeciętny Polak powiada: — Pięknie o tym mówią, tylko nic z tego nie wychodzi! I nawet już nie zastanawia się, dlaczego „nic z tego nie wychodzi”? Gdzie leżą przyczyny? On jest w porządku. Zawinił „oni”. Ale kim są ci „oni”? — nad tym się już na ogół nie zastanawia. I czy bez reform — nie tylko gospodarczych przecież — można „iść dalej”, to znaczy, czy może się dokonać postęp społeczny?

Często ten postępek rozumie my ilościowo. Wzięło się to z przeszłości, gdy w każdym referacie, przemówieniu, artykule programowym musiało być podane, ile do tej pory produkowano i ile produkuje się teraz. Produkcja „teraz” musiała być wyższa ilościowo od „produkacji z przeszłości”, sprzed lat dwu, czterech, pięciu, dziesięciu... To było miarą sukcesu. Każdy mówca czuł się w obowiązku poinformować zebranych o ilościowym rozwoju swojej instytucji, placówki, przedsiębiorstwa.

Rozwój ilościowy produkcji towarów wszelkiego rodzaju jest i powinien być potrzebny. Szczególnie teraz, gdy w sklepach brakuje wielu różnych rzeczy, a cena telewizora wyszła jakości przekroczyła już milion złotych. Ale rozwój ilościowy nie zastąpi rozwoju jakościowego. Bez rozwoju jakościowego nie dokona się takich zmian, które umożliwią ilościowy wzrost produkcji. Mówiąc najprościej, dotychczasowymi metodami rządzenia nie dokona się niezbędnej zmiany jakościowej, nie dokona się przejścia od socjalizmu biurokratycznego do socjalizmu otwartego. Nazwy te zapożyczyłem od Stanisława Rainko, który w marcowym (3) numerze „Nowych Drog” wydrutował artykuł: „Socjalizm biurokratyczny a socjalizm otwarty”. Zresztą nie o nazwy chodzi a o istotę. W tym wypadku jednak nazwy zgodne są z istotą społecznych zjawisk, warto więc je spopularyzować.

Co to jest socjalizm biurokratyczny?

Przed wszystkim jest to pierwsza historyczna forma socjalizmu i jedynie nam znana. Socjalizm biurokratyczny przybierał różne formy. Inny był za czasów Władysława Gomułki, inny w czasach Bolesława Bieruty, inny za Edwarda Gierka „Stalinizm” — pisze Stanisław Rainko — reprezentuje natomiast niewątpliwie najbardziej skrajną i zbra-

wane reformy polityczne i społeczne. W praktyce jednak idzie to z oporem i w odczuciu społecznym niewiele w tej dziedzinie zrobiono.

Socjalizm biurokratyczny charakteryzuje się tym, że — mimo różnych ideologicznie uzasadnionych deklaracji — nad interesami klasowymi robotników, chłopów i inteligencji dominuje interes biurokracji, której — jak to stwierdza Stanisław Rainko — nie można uznać ani za klasę społeczną, ani za warstwę, ani tylko za aparat administracyjny. Biurokracja jest wszystkim po trosze i jednocześnie, dysponuje własnością społeczną, nie ponosi jakiegokolwiek odpowiedzialności za to, co czyni, ta odpowiedzialność dokładnie rozmywa się i zanika, a otaczający ją świat traktuje jako przedmiot swej wszechstronnej działalności. „Biurokracja socjalistyczna” — pisze Stanisław Rainko — wyróżnia się jednocześnie swoimi cechami, które czynią z niej społeczność i polityczną potęgę oraz wynoszą ją ponad społeczeństwo”. Jest ona podobna do biurokracji w ogóle, a jednocześnie tymi cechami różna od niej. I przez to bardziej niebezpieczna.

Biurokracja socjalistyczna jest anonimowa. „Stąd tak mało — stwierdza Stanisław Rainko — znane są kulisy życia politycznego w społeczeństwach socjalistycznych”. Łączy ona model przeciętnego obywatela, który nie powinien nieczym się wyróżniać, a już w żadnym wypadku nie powinien być krytyczny w stosunku do otaczającej go rzeczywistości, nie może się wyróżniać intelektualną czy moralną odwagą, nie powinien być ideologicznie zaangażowany po jakiegokolwiek stronie, po stronie socjalizmu również. Najlepsi są nijacy. A najbardziej niebezpieczni — ludzie kontrowersyjni. Siła biurokracji socjalistycznej jest konserwatywna i wierność — deklaracyjna oczywiście — ideom zawartym w dogmatyzmie.

Przeglądając się uważnie socjalizmowi biurokratycznemu i biurokracji socjalistycznej dochodzi się łącznie do wniosku, że

największym niebezpieczeństwem dla socjalizmu biurokratycznego jest rewizjonizm, a dla wszelkich poczyni reformatorskich konserwatyzm,

w którym mieści się też dogmatyzm. Władysław Gomułka wprowadził twierdził, że partia musi jednocześnie walczyć na dwa fronty: z rewizjonizmem i dogmatyzmem, ale jakby dogmatyzm traktował pobłażliwie, jako formę jedynie skostnienia ogólnie przyjętych pryncypiów. Gdy tymczasem dogmatyzm może być również, a niekiedy nawet bardziej szkodliwy niż rewizjonizm. Mam tu na myśli — co trzeba wyraźnie zastrzec — rewizjonizm w pojęciu klasycznym, jako pewien nurt w historii

nawet jej wykonawca przekonany jest o jej niesłuszności, to nie on ponosi odpowiedzialność. Jemu kazano.

Ta ucieczka od decyzji, od samodzielnego szukania rozwiązań, niekiedy w prostych sprawach, wytworzyła u ludzi przekonanie, że o wszystkim decydują ci u „góry”, nawet jeśli jest to tylko „góra wojewódzka”. Przyznaję, że wstyd mi było za niektórych łodzian, gdy w „Głosie Robotniczym” czytałem sprawozdanie z rozmowy Czytelników gazety z I sekretarzem KL PZPR — Józefem Niewiadomskim. Zaw sze mi się wydawało, że szef wojewódzkiej organizacji partyjnej ma trochę większe zmartwienia niż załatwiać kartki benzynowe facetowi, który nie potrafi o nie dbać, niż zajmować się hodowlą gołębi na czymś strychu, przeciekającym szczytem czy niesprawnością i ewentualnym służb komunalnych, które żyją z rodziny zmarłego, ile tylko mogą. Mam nadzieję, że Józef Niewiadomski wyciągnie z tego właściwe wnioski i ludzie odpowiedzialni za poszczególne dziedziny życia miasta poczują, że są za nie odpowiedzialni. Tak naprawdę, a nie na niby.

Relacja z rozmowy I sekretarza KL PZPR — Józefa Niewiadomskiego z Czytelnikami „GR” pokazuje aż nadto wyraźnie obraz skostnienia naszej biurokracji. Jeśli w wielu takich prostych sprawach trzeba aż interwencji szefa partii, to co mówić o wielu innych. I czy wszyscy ze swoimi — dla nich niewątpliwie najważniejszymi sprawami — mogli dozwolnić się, opowiedzieć o swoich kłopotach, poskarżyć się? I czy to jest skuteczna metoda naprawiania PRL? Przecież niemal wszystkie te sprawy powinny być już dawno załatwione przez urzędników, no — powiedzmy — na szezęblu starszego referenta, ewentualnie kierownika. Z I sekretarzem KL PZPR należałoby natomiast podyskutować o problemach globalnych dla województwa. Na przykład o teraźniejszości i przyszłości przemysłu lekkiego w Łodzi, stanie telekomunikacji i jej przyszłości, koncepcji rozwiązywania wielu problemów kultury w mieście i województwie, o budownictwie mieszkaniowym i tak dalej. Te sprawy często ludziom przesłaniają drobiazgi, wynikające z nieudolności, niewydolności i małej sprawności w działaniu naszej administracji, zbiurokratyzowanej do granic wytrzymałości.

Czy jest alternatywa?

Mariusz Gulczyński w wywiadzie udzielonym „Konfrontacji” widzi dwa warianty rozwoju sytuacji. Pierwszy — „kontynuowanie polowicznej reformy, niedopuszczenie do gruntownych zmian”, czyli zwycięstwo konserwatyizmu. W historii Polski już to się zdarzało. I drugi wariant, którego punktem centralnym jest „utworzenie szerokiego, ogólnospołecznego Paktu Antykrzysowego, skupiającego tych wszystkich, którzy rozumieją dramatyzm sytuacji i gotowi są potraktować drugorzędnie

Święto Piotrkowskiej

Tekst: ANDRZEJ KAROL

Zdjęcia: GRZEGORZ GALASIŃSKI

"Imieniny Pietriny" odbyły się już po raz drugi, z większą niż w ubiegłym roku pompą (dosłownie i w przenośni — w sobotę przed południem lato niezgorzeło, na szczęście imieniny były dwudniowe, z „poprawinami” w niedzielę), z większym rozmachem i lepszą organizacją, za co należą się słowa uznania wszystkim organizatorom i sponsorom, a zwłaszcza kolegom z „Dziennika Łódzkiego” z niezmordowanym Jerzym Szelewskim. Nie będę tu opisywał kolejno wszystkich imprez i wydarzeń — kto nie był, niech żałuje i wybierze się w przyszłym roku. Jedno nie ulega wątpliwości: łódzianie bawili się nieźle, zwłaszcza młodzież i najmłodsi, ruch był, kolorowo było i festynowo. Szczególną uwagę zwrócić należy na zbiórke pn. „Piotrkowska — nasza troska”. Pieniędzy to tam się na rewaloryzację nie nabrało wiele, ale może zadziała przykład i znajdą się jeszcze więksi niż indywidualni fundatorzy? A może ta zbiórka będzie początkiem jakiegoś funduszu Piotrkowskiej, funkcjonującego cały rok, a nie tylko od święta?

Podobno rekordy w kwiecień bił Wojciech Siemien, a tuż z nim plasowała się Irena Kwiatkowska. Za tą parą — jak mówi w tajemniczy sposób — „medalowe” miejsce zajęła popularna prezenterka łódzkiej TV Ewa Bratoś. Pomysłowością i humorem wykazał się w roli kwestora aktor teatru im. Jaracza Grzegorz Heromiński.

Organizatorzy zrecnie połączyli festynowe imprezy ze spotkaniem z kandydatami na radnych — i popatrzcie państwo jak to świat się zmienia! Kiedy zamiast głosowania mamy prawdziwe wybory, formy przedwyborczej agitacji stały się żywsze, prawdziwsze i odarte z koturnowej sztampy. Tylko tak dalej!

Po raz drugi już bulwersował łódzian pokaz konceptualistyczny Trelińskiego (imienia nie używam, bo i artysta go nie używa). Pokaz firmowało muzeum kinematografii.

Spotkamy się za rok. Będzie jeszcze fajniej, jestem pewien. A przy okazji: czy nie należałoby pomyśleć o dalszym kroku naprzód — nie rezygnując (broń Boże!) z ludowego festynu i ogólnej zabawy dla wszystkich, spróbować niekiedy imprezom nadać nieco wyższą rangę, aby stały się małym festiwalem kulturalnym naszego miasta i województwa. Tylko nie dosmuchać! Zachować ten nastrój!



Zanim powstało miasto Zgierz, musiało się coś spalić, albowiem jak twierdzą, językoznawcy nazwa wywodzi się od rdzenia „gor”. Archeolodzy uważają, że gród istniał od co najmniej osmiu wieków, toteż prawdopodobnie wiośniowicz zgorzał las, potem zaś na zachód od dzisiejszego miasta powstał gród, który przed XIV w. utracił znaczenie punktu obronnego. Być może spalili go złośliwy diabeł Boruta, aby mu po wiekach postawiono w tym samym miejscu wspólny pomnik zieleń iadom i siarką, czyli nazwane tego imieniem zakłady chemiczne produkujące barwniki.

Wszystkiemu winien diabeł Boruta.

Siedem wieków i dwanaście wesolych dni

RYSZARD BINKOWSKI

Dokumentów nadania praw miejskich nie ma, lecz najnowsze badania historyków wykazują, że Zgierz był już miastem w 1288 r., w związku z czym po równo siedmiu wiekach należało zorganizować nad Bzurą dwanaście świątecznych dni. Trudny okres ekonomiczny kraju nie może być przeszkodą w rzuceniu paru milionów złotych inflacyjnych na festyny, zabawy, gryzyska, bo raz na 700 lat Zgierz musi być czysty i schludny, rozśmieszony i kolorowy.

No i 1 czerwca 1988 roku na obu zboczach doliny Bzury zrobiło się hulaśniczo, radośnie, festynowo i zaczęło się dwanaście wesolych dni. Najpierw coś specjalnie dla ducha — otwarcie filii SDK „SEM” oraz wystawy kwiatów — potem zaś parada młodości, aby jawny był dowód, iż Zgierz nie jest tylko miastem emerytów. A wieczorem 3 czerwca miało miejsce historyczne widowisko plenerowe, w którym pokazano, jak to w tym Zgierzu drzewiej bywało. Na temat wyczynów aktorów, strojów, języka i prezentowanych obrzędów laik nie ma prawa się wypowiadać. Przepuszcza się, że Kapłan Aleksy, pierwszy znany z Kronik 1257 r. zgierzanie, ani też Mikołaj syn Świętosława i Stanisław syn Macieja, dawał zgierzanie studiujący w 1430 r. w Akademii Krakowskiej, w grobach się nie przewracali. Zresztą wszyscy mają rozstrazzenie od pierwszego prezydenta Zgierza, Ałojzego Skalskiego, który opisujać miasto w 1847 r. stwierdził m.in.:

„Początki pierwsiastkowego powstania miasta tak tak i temu podobnych są mniej pewne, raczej na domysłach oparte i gina w upływie starożytności”. Natomiast współczesny prezydent, Włodzimierz Oreczykowski, zastanawiał się czy skoro w XIII w. Zgierz miał komore celna, a dziś przecinała się tutaj droga ze wszystkich stron świata, to nie można by w podobnej komorze zasilić kiesy miejskiej. Tak też, panie prezydencie, postawić na rogatkach halabardników i ścigać myto od tych, co wybierają się po świeże powietrze do Grotnik i Sokolnik i od tych, co gnają do łódzkiego „Centralu” i Uniwersalu. A jak wracają z pełnymi torbami, to na rogatkach cło od kilograma, aby Łódź wybiła sobie z głowy, że Zgierz jest li tylko jej satelitą.

Szef RUSW Edmund Szmajdziński, nie bityb za tym, ponieważ w pamięci utkwił mu bunt 200 czeladników z 1826 r., którzy szturmowali ratusz, ponieważ burmistrz dwóch czeladników uwięził. Szef rozważał, który z rodzajów broni historycznej wybrać dla swoich chłopów na wypadek adyby doszło do większych brewerij niż podczas dwunastu wesolych dni. Bo na razie oprócz tańców i sple-

wów ulicznych do gorzających ekscesów nie doszło. Liczne mecze piłkarskie toczyły się na wesoło i nie towarzyszyły im atmosfery z angielskich stadionów. Bieg o „Srebrne Człotko Włóknarskie” i miłyng lekkoatletyczny nie miały nic wspólnego z „koksem” ani innym wrednym dopinaniem, po prostu sama zdrowa rywalizacja. Ba, nawet w międzyszkolnych zawodach strzeleckich z broni pneumatycznej nikt nikogo nie postrzelił, bo wcześniej odbyła się zaprawa na sucho, czyli turniej wiedzy o Obronie Cywilnej.

Za to o wiele więcej emocji mogła wzbudzić zorganizowana 4 czerwca w Urzędzie Miasta se-

Działal Zgierz leży na powierzchni 4280 ha, które przecinają linie kolejowe, tramwajowe i toru miejskiej komunikacji autobusowej. Żyje tutaj 58 567 mieszkańców. Pracy nie trzeba szukać, bo funkcjonuje 3 zakładów kluczowych, w tym tacy eksporterzy, jak „Boruta”, „Zeta”, „Fresco” czy „Zeltor” w dniach jubileuszu życzymy wszystkim zdrowia, ale gdyby nie dał Boże, to jest gdzie chorować: 3 szpitale z 1094 łózkami i 14 przychodni lekarskich.

Ala gdy 10 czerwca 1988 r. na stadionie „Włóknarza” ma się odbyć turniej piłkarski ołd-boyów, znak to niechybny, iż zgierzanie krzepko się trzyma-

ja. Są jednak inne amarywiznia. Otóż do powstania latopadowego Zgierz wraz z Kaliszem zajmował pierwsze miejsce w przemyśle tekstylnym Królestwa, mógł więc wchłoniąć nawet leżącą w pobliżu Łódź. A gdy w 1978 r. Zgierz przekroczył 50 tys. mieszkańców, zrównał się jak to mówią, w temacie „burmistrz” z Łodzią, bo uzyskał swoje własne prezydent. I wraz z otaczającą go gminą mógł utworzyć ciut mniejsze terytorium od nowego miłdwojewództwa łódzkiego. Jednak nie anektował Łodzi, bo po co mu taki moloch, ale za to zbliżył się do niej zranicami, kosztem przyłączenia okolicznych wsi. Obszar wiekazy, ludzi też więcej i musza oni gdzieś mieszkać. I tym martwi się, o zgrozo, sam prezes ZSL, Dariusz Ziomek. Ano tak, bo mieszkanie dla oczekujących rodzin musza być, ale jak rozwiązać problem brakujących terenów pod budownictwo mieszkaniowe? Dariusz Ziomek ma prawo i obowiązek walczyć, aby nie uciepiała przyroda i aby bezmyślnie nie budowano czegoś na dobrej rolniczej ziemi, tym bardziej, że w Zgierzu produkują żywność setki gospodarstw chłopskich.

Jasne, można świętować, byle nie zdepciać żyta i kartofli na polu. I żeby w czasie koncertu orkiestr dętych na placu Armii Czerwonej nie zawaliło się coś ze zgierskich zabytków. Bo np. Marian Pieruń, prezes Towarzystwa Przyjaciół Zgierza, uważa za konieczne przebudowę i modernizację Śródmieścia, ale w taki sposób, żeby nie uciepiał przy tym żaden dom tkacki, żadna facjata zwieczona attyka ani żaden element ze stylu klasycystycznego.

Dni Fantastyki zorganizowano chyba w tym celu, aby na czas jubileuszu zgierzanie mogli zobaczyć miasto w jakim chciałoby mieszkać. I pewnie dlatego wszystko zaczęło się parada młodości. To młodzież stwóży taki Zgierz, o jakim marza tysiące. Ci, co pobierają naukę w 9 szkołach podstawowych i 5 zespołach szkół zawodowych, uczniowie liceum ogólnokształcącego i słuchacze Studium Nauczycielskiego oraz Szkoły Muzycznej. Może właśnie im, młodym, warto być poświęcić to wielodniowe święto i kilka milionów złotych, coż bowiem taki marny grosz znaczy wobec wieczności. Wprawdzie inspektor oświaty, Jerzy Nowicki, byłby zapewne zdania, że dalsze jest rozwiązanie problemu bazy szkolnej, przedszkolnej i dla kultury, ale na ten cel pieniądze także się znajdą.

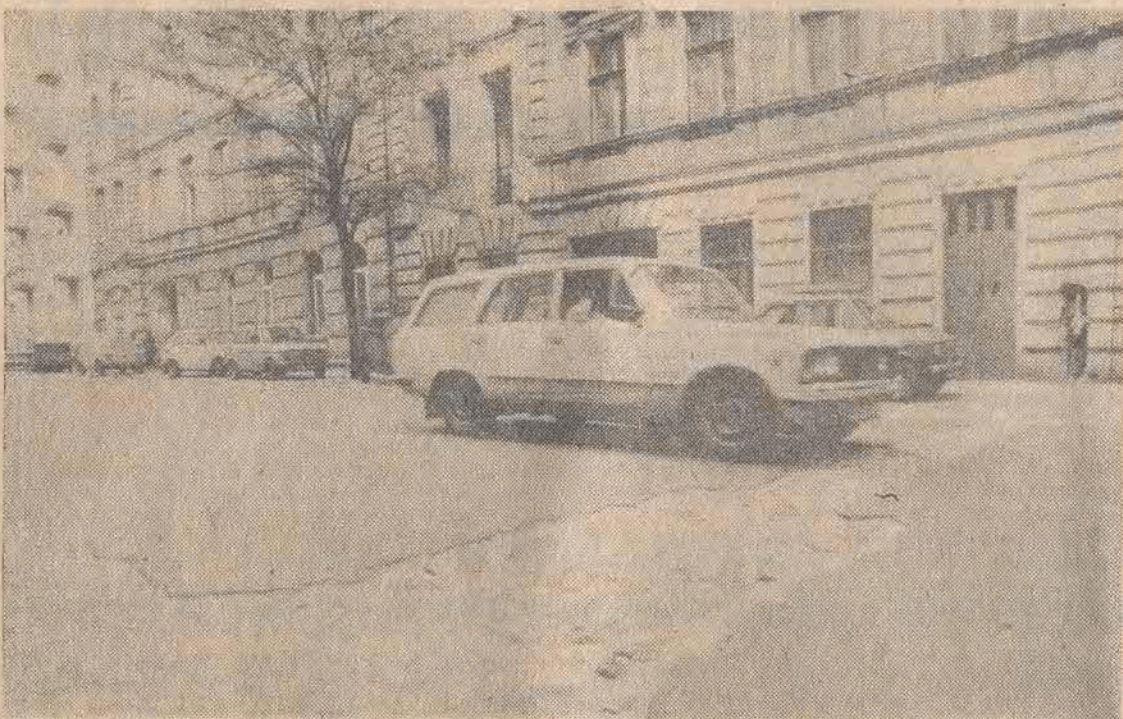
Mija siedem wieków i dwanaście wesolych dni uświetnionych koncertem finałowym. MRN zatwierdziła flagę miasta Zgierza, osobom fizycznym i instytucjom przyznano medale 700-lecia Miłkna fanfary i do stołny Jubilat odznaczony w 1974 r. Sztandarem Pracy I Klasy, wraca do rzeczywistości i poważnie. W tej sytuacji zgodnie z tradycją należa mu się gratulacje i życzenia. Czegoż wobec tego życzyć Zgierzowi? Może skromnie, bez obietnic na wyrost aby wszedł w XXI wiek w pokoju, aby świeciło nad nim słońce, domy stały w zieleni, a mieszkańcy mogli oddychać czystym powietrzem i łowić ryby w Bzurze.

„W 1823 Zgierz miał kilka domów żydowskich z drewnianymi dachami bez szczytów 20 chat mieszczan rolniczych porożrzucanych bez porządku, bez bruku, pełnych błota i niedzy”...



Foto: Grzegorz Galasiński

Łódź w reporterskim skrócie



Ulica Próchnika

ze str. 1

DARIUSZ DOROŻYŃSKI: Co da rotacyjne parkowanie w śródmieściu?

Nasze inwestycyjne zamierzenia z przyczyn przyziemnych (czytaj — finansowych) rozciągają się nieprawdopodobnie w czasie. Ale jest i powód znacznie, niestety, groźniejszy, który ośmielił się niniejszym zaprezentować: błędów w projektowaniu i wykonawstwie nie naprawimy żadnymi pociągaciami organizacyjnymi. Dowody?

Ulica Złotowska, która przebiega chybą od Pabianickiej makabrycznie miano „ulicy śmierci” (nikt nie zadbał o automatyczne podłączenie do drogowej pajęczyny miasta osiedli Rado-goszcz-Wschód i „Zachód?...”). Ogromna Retkinia, która „wisi” na ulicy Karłowickiej, a na tej ostatniej wciąż występują różnego typu ograniczenia związane z przebudową układu komunikacyjnego przy dworcu Ka-liskim. Piętnaście lat temu była mowa o bliszej już realizacji drugiej jezdni ulicy Pabianickiej — do ulicy Rudzkiej włącznie...

A łódzka trasa W-Z, tak młoda przecież i nowoczesna? Realizacyjne „oszczędności” i okrojania już dają o sobie wyrażnie: na odcinku od alei Tadeusza Kościuszki do ulicy Henryka Sienkiewicza ta szeroka arteria zaczyna się coraz bardziej klinować, blokować. Każdy wypadek potrącenia pieszego przy ulicy Jana Kilińskiego uświadamia wszystkim, że to tam powinno być podziemne przejście dla pieszych, a nie przy ulicy Targowej, gdzie tylko dziś koty się legną...

Jaka przyszłość czeka naszą ulicę Piotrkowską, bo przecież nawet kluczący po niej zmotoryzowani zdają sobie sprawę, że nie jest to ulica, która może spełniać wymagania trasy komunikacyjnej?

Trudny układ drogowy miasta, duże n. teżenie ruchu i nasze realne możliwości pozwalają na jedno tylko rozwiązanie: organizacyjnymi korektami „wycisnąć” z istniejącego u-

kładu komunikacyjnego maksimum jego możliwości — zastępca dyrektora Wydziału Komunikacji Urzędu Miasta — HENRYK WILK bez ogródek przechodzi do szczegółów. — Jedynie wyjście z coraz trudniejszej sytuacji — to dalszy rozwój systemu ulic jednokierunkowych. Taką stać się winna ulica Henryka Sienkiewicza (od Adama Mickiewicza do Północnej) — w kierunku północnym i ulica Wólczańska (od Adama Próchnika do Adama Mickiewicza) — w kierunku południowym. Usprawnimy tym połączenie, w miarę bezkolizyjnie, dwóch dróg krajowych, czyli ulicy Promińskiego i al. Włókniarzy. Musimy też stworzyć w północnej części miasta układ podobny do łódzkiej trasy W-Z. Rozwiązanie to znów dwa „ciągi” jednokierunkowe: Zielona — Wieckowskiego — Jaracza do Promińskiego oraz Rewolucji — Próchnika — 1 Maja — Obr. Stalingradu.

— Wiem, że zmieni to system kursowania pojazdów MPK, a więc życie sugeruje, iż wspomniane korekty nie nastąpią zbyt szybko... Natomiast wszyscy zmotoryzowani boją się rychłego ponowienia wprowadzenia tak zwanego rotacyjnego parkowania w centrum. Platnego!

— Ma pan lepszy pomysł? W centrum nie zbudujemy już żadnego parkingu: brak miejsca, a o innych, wielopoziomowych rozwiązaniach dyskutować byłoby niepoważnie. Natomiast parkowanie rotacyjne pozwoli wyeliminować ze ścisłego centrum tych, którzy przyjechali tu na całodienne zakupy, umożliwi uporządkowanie, czyli prawidłowe ustawienie pojazdów, bo nad operacją tak pozornie prostą czuwać będą specjalne służby, pozwoli wreszcie do maksimum wykorzystywać te istniejące miejsca, których wciąż zbyt mało.

— Ile będziemy płacić? Od kiedy? I czy rzeczywiście „przybędzie” miejsc parkingowych?

— Płacić będziemy w godzinach 8—17, na przykład. Być może jeszcze tego lata, w pierwszym etapie na wszystkich przecznicach Piotrkowskiej, od pl. Wolności do Franciszka Wągury. Napiszmy wyraźnie: dotyczy to parkowania na i przy chodnikach, a obliczamy, że

dzięki rotacji minimum trzykrotnie wzrośnie ilość miejsc dla samochodów. Po prostu opłacało się będzie parkować nie dłużej jak, powiedzmy, godzinę...

ANDRZEJ GĘBROWSKI: Gaz — czyli degradacja cywilizacji.

Ulica Jaracza 1, naprzeciw „Magdy”. Reprezentacyjny punkt Łodzi, w pobliżu skrzyżowania z ulicą Piotrkowską. Przed wejściem do sklepu „Ars Christiana” — głęboka dziura w chodniku, otoczona żółtą barierką. Ludzie przemijają się wąskim przesmykiem betonu, przyzwyczajeni do utrudnień. Rzadko kto zajrzy w głąb dziury, będącej — podobno — wyłotem studzienki gazowej, lecz tymczasowo — po prostu śmietnikiem, gdzie wrzuca się butelki po wódce, odpadki spożywcze, opakowania po lodach. Zresztą — co tu opisywać, otwarte studzienki gazowe stały się zwyczajnym elementem miejskiego pejzażu. Nauczylismy się je omijać, jak omija się uliczne latarnie. Czy te nowe przeszkody będą równie, jak latarnie, długowieczne?

— Nie mogę, niestety, podać żadnego terminu zamknięcia studzienek — ubolewa dyrektor łódzkiej gazowni, Mikołaj Grzelczak.

Mieszkańcy z okolic studzienki przy ul. Jaracza 1 korzystali do niedawna z gazu. Teraz już nie. Od 23 maja 1988 r. posesie reprezentacyjnej ulicy Piotrkowskiej, na odcinku od placu Wolności do ulicy Gabriela Narutowicza, przeszły na niższy stopień cywilizacji. Przyczyna: w studzienkach wykryto zbyt duże stężenie gazu, uciążliwego się z nieszczelnych, żeliwnych gazociągów. Czy może się wkrótce zdarzyć, że następne ulice Śródmieścia odcięte zostaną od gazu?

— Czas pracuje na naszą niekorzyść — odpowiada enigmatycznie dyrektor Mikołaj Grzelczak.

Ulica Piotrkowska jest najnowszym rejonem cywilizacyjnej degradacji. Inne ulice i domy Śródmieścia doznały tego samego wcześniej. Spróbujmy więc dokonać krótkiego bilansu. Najpierw, jak to wygląda od strony lokatorów, czyli od

strony posesji. Aktualnie odłączone są od sieci gazowej następujące, oprócz Piotrkowskiej, ulice w centrum: Adama Próchnika, Stanisława Zwirki na odcinku od Wólczańskiej do Piotrkowskiej, Juliana Tuwima — od Henryka Sienkiewicza do Jana Kilińskiego, Solna — od Północnej do Marcellego Nowotki. Poza tym, całkowicie lub częściowo pozbawione są gazu 24 budynki i kamienice w różnych punktach Śródmieścia. W niektórych z nich prowadzone są roboty gazowe, inne — czekają na swoją kolej. Jak źle pójdzie, mogą tak czekać przez lat kilkadziesiąt.

W całej Łodzi zakopanych jest w ziemi 650 km sieci gazowej, z czego ponad 100 km to gazociągi żeliwne, ułożone przeważnie w centrum. Trzeba je na gwałt wymienić. To samo dotyczy 20 km przyłączy w obrębie budynków. Żeby je szybko wymienić trzeba mieć — po pierwsze — rury (stalowe), i — po drugie — odpowiednio przeszkolonych, w odpowiedniej liczbie pracowników. Niestety, wszystkich brakuje.

Rury — to obecnie problem numer jeden dla miasta. Krótko mówiąc, są one nie do zdobycia. Alarmujące monity z Łodzi dotarły do samego wice-

zownia. Rzemieślnicy — jako się rzekło — posiadają uprawnienia do wymiany instalacji gazowej, wydane przez Izbę Rzemieślniczą. Gazownia zamierza ich jednak zweryfikować, wymagając — przed dopuszczeniem do pracy — własnych zaświadczeń, w cenę... 12 tys. zł. Tłumaczy się przy tym, iż chodzi o interes społeczny, ponieważ rzemieślnicy nie „trzymają” jakości, a pracownicy gazowni — tak. Efekt: rzemieślnicy wycofują się z takiego interesu, pogłębiając deficyt „mocy wykonawczych”.

A co z lokatorami, pozbawionymi gazu? Młotają się w poszukiwaniu butli gazowych, stoją w kilkusetosobowych kolejkach po „nabiciu”. Instalują ulomne, małe kuchenki elektryczne. Administracja oświadcza, że robi, co może, ale przyznaje jednocześnie, że jest to kropla w morzu potrzeb.

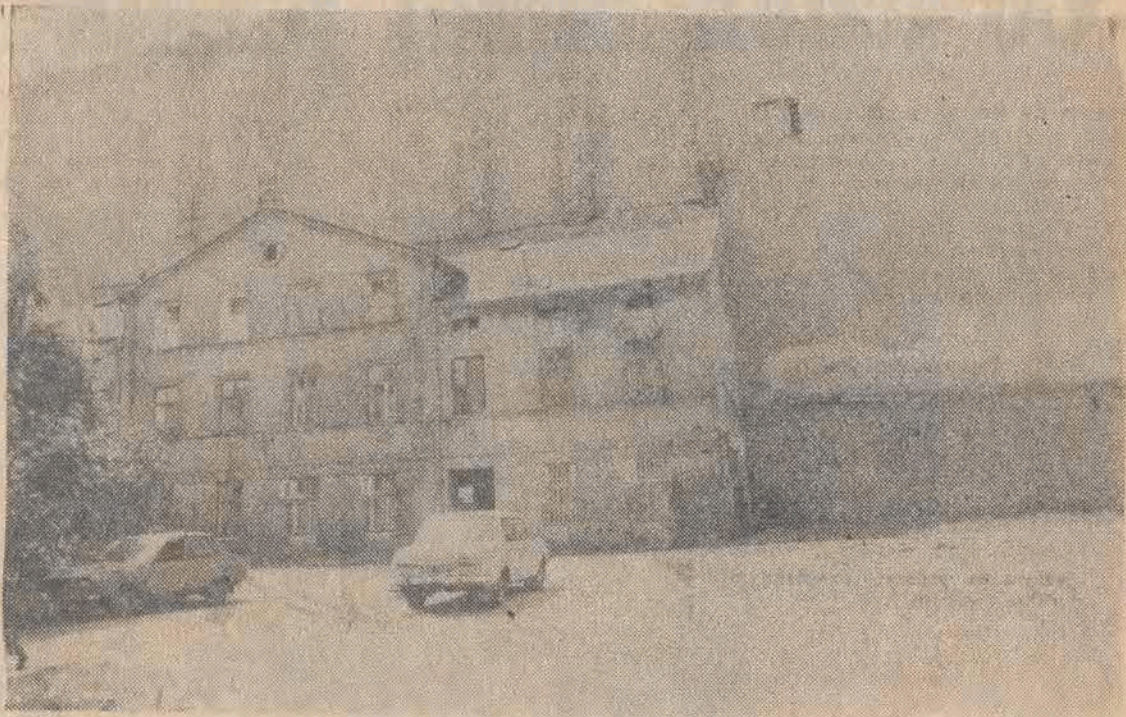
Potrzebujemy od razu 1000 butli gazowych — przyznaje Wiesław Mokrosiński, inspektor nadzoru śródmiejskiego PGM — a otrzymaliśmy do tej pory 100 butli turystycznych i 40 większych, 11-kilogramowych.

Cały ambaras wziął swój początek w lata 70., gdy zapadły decyzje o zamianie gazu koksowniczego na ziemny, któ-

rego zmiany cen zaopatrzeniowych i przepisów sprawiły, że plan był gotowy i zatwierdzony dopiero na przełomie marca i kwietnia. Zaawansowanie robót za I kwartał jest daleko niewystarczające — poniżej 25 proc. A zresztą — plan nie przewiduje zaspokojenia wszystkich potrzeb. Nie ma na to pieniędzy, materiałów i możliwości wykonawczych. Jeden z najważniejszych problemów w Śródmieściu — to dachy. Brakuje dekarzy, korzystamy z usług rzemieślników, którzy pracują dobrze, solidnie i często taniej niż przedsiębiorstwa państwowe, ale — nie wszystkich napraw chcą się podjąć. Wybierają łatwiejsze. Ratujemy się naprawami tzw. punktowymi — smołowaniem, taniem papą itp. po prostu, aby zabezpieczyć budynek przed dewastacją, która zawsze grozi przeciekającym dachem.

Drugi poważny problem — to stolarka. W wielu domach pilnie trzeba wymienić okna, drzwi, ale brakuje drewna. Opóźnienia w tej dziedzinie sięgają kilku lat.

Ponadto — piece których nie ma kto remontować, wymiana urządzeń sanitarnych których dostawę nie pokrywają nawet małe części potrzeb. zawilgo-



Ulica Nawrot

premiera Zbigniewa Szalajdy. Jaki jest rezultat tych zabiegów? Czy będą dodatkowe rury?

— Mam zapewnienie z katowickiego „Centrostalu” — odpowiada dyrektor gazowni — że... rozpatrz nasze potrzeby w IV kwartale 1988 roku. W ramach rozdzielni...

Wielkość przydziału jest śmiesznie mała, zaledwie 4—4,5 km rur w ciągu roku.

Ostatnio łódzki „Centrostal” zdobył dla Łodzi 78 metrów rur. Uznano to za sukces. Jednakże większego wyczynu dokonał pewien rzemieślnik, który zobowiązał się dostarczyć 2,5 km rur, odkupionych od kogoś, kto otrzymał je z puli „czynów społecznych”. Jak na drugie miasto w Polsce, sukcesy te przypisujemy o śmiech. Z kogo się jednak śmiać? Z bezradnej gazowni? Z umęczonych lokatorów?

Już zgola nie uśmiech, ale brzydkie słowa cisną się na usta, gdy słyszy się o zatargu, jaki panuje ostatnio pomiędzy rzemieślnikami, uprawnionymi do robót instalacyjnych, a ga-

zy okazał się zbyt suchy, i — jako taki — przenika przez dotychczasowe uszczelnienia żeliwnych gazociągów. Jak na ironię, gazociągi żeliwne wytrzymały w dobrej kondycji od przedwojny, ulegając dopiero suchości gazu ziemnego. Ile lat wytrzymają w ziemi ich następcy, gazociągi ze stali? Fachowcy twierdzą, że znacznie mniej.

PS. Jak wynika z ostatnich informacji, pozbawieni gazu mieszkańcy Śródmieścia otrzymają do końca lipca tysiąc 11-kilogramowych butli gazowych z propanem-butanem. Zostaną one dostarczone do domów i pozostaną w nich tak długo, jak długo potrwa przerwa w dostawach gazu z sieci. Lokatorzy zapłacą wyłącznie za wykorzystany gaz. Nie wszyscy otrzymają jednak butle, ponieważ nie wszystkie mieszkania posiadają odpowiednie warunki techniczne. Pozostałym należą się kuchenki elektryczne i kuchenki węglowe. W dalszym ciągu nie wiadomo, czy i ile uda się ich załatwić.

TERESA JERZYKOWSKA: Śródmieście się wali.

Tak naprawdę zresztą — ruina grozi nie tylko Śródmieściu, lecz także starą enklawą innych dzielnic. Wiele starych, niekiedy bardzo interesujących architektonicznie i naprawdę wartych zachowania budynków niszczy w szybkim tempie, choć odpowiednie zabiegi konserwacyjne i remonty mogłyby sprawić, że przez wiele jeszcze lat: służyłyby mieszkańcom i zdobyły miasto. Ponieważ jednak Śródmieście jest w pewien sposób wizytówką Łodzi — o krótką wypowiedź na temat remontów konserwacji — potrzeb w tym zakresie i trudności w ich zaspokajaniu poprosił przedstawicieli PGM Śródmieście.

Mówi Waldemar Gucajda, zastępca dyrektora PGM: — Rok zaczął się niefortun-

nie mieszkań, na ostatnich kondygnacjach i na parterach — prace drogie i czasochłonne. Wreszcie — odpadające tynki i gzymsy. To grozi poważnym niebezpieczeństwem przechodniom i musi być wykonane szybko. Jedynie, co możemy zrobić, to skuwać tynki. Gdyby był samojedyny podnośnik — mogliby wykonywać te roboty nasi pracownicy, ale ponieważ nie ma — zlecamy te prace członkom klubu wysokogórskiego, co bardzo drogo kosztuje. W nagłych przypadkach interweniuje straż pożarna. Po takim zabiegu budynek wygląda okropnie i właściwie natychmiast powinien otrzymać nową elewację, ale — wobec ciekawych dachów i innych spraw zagrażających bezpieczeństwu lokatorów w elewacji nie jest zadaniem pierwszoplanowym. Dla tego odrapane kamienice straszą nieraz przez wiele miesięcy...

O remontach kapitalnych mówi Władysław Kozulski, pełniący obowiązki kierownika działu dokumentacji i nadzoru technicznego: — Na 1988 rok zaplanowaliśmy 33 pozycje, ale — plan jest w trakcie korekty i ilość ta może ulec zmianie (a konkretnie — zmniejszeniu). Problemy mamy od wielu lat te same — brak mocy przerobowych, brak materiałów (sprawa poważna, zwłaszcza że korzystamy w dużym stopniu z usług rzemieślników, którym trzeba dostarczyć materiały), a przede wszystkim — brak możliwości przekwaterowania lokatorów na czas remontu do lokali zastępczych. Niejeden już remont opóźnił się z tego powodu o wiele miesięcy i nie nie wskazuje, aby w niedługim czasie miała nastąpić jakaś poprawa...



Róg Zwirki i Piotrkowskiej

Foto: Grzegorz Gałasiński

Jak wiadomo, pierwszym, który spisał dramatyczne przeżycia człowieka ukrywającego się w gruzach popowstaniowej Warszawy był znany pianista Władysław Szpilman. Na dół do swoich wspomnień nieźbył fortunny, moim zdaniem, tytuł „Robinsona warszawskiego” — za bardzo przygodowy jak na gehennę będącą udziałem Żydów w czasie hitlerowskiej okupacji. Okazało się potem, że tych „Robinsonów” jest trochę więcej, choć nie wszyscy zdecydowali się ujawnić publicznie swoje nazwisko czy opublikować wspomnienia. Jestem niezmiernie wdzięczny, że zdecydował się pan podzielić się z moim pośrednictwem, z Czytelnikami „Odgłosów” tak bolesnym wspomnieniem.

— Przez wiele lat uciekałem od tych wspomnień, ostatnio

Półtora roku w kryjówce. Cztery miesiące w gruzach.

Jeden z tych, którzy ukrywali się w gruzach Warszawy

Jednak, zarówno pod wpływem korzystnej zmiany ze strony polskich władz w odniesieniu do całego kompleksu spraw związanych z losami Żydów polskich, jak i ulegając pańskim wytrwałym naleganiom, postanowiłem przerwać długoletnie milczenie. Pod warunkiem jednak, którego proszę nie mieć mi za złe, że ochroniłam moją anonimowość. Zarówno ja, jak i moja żona, więźniarki obozów koncentracyjnych, żyliśmy przeżyli...

— Jakiego wico użyjemy pseudonimu zamiast pańskiego, jak się domyślam, przybranego nazwiska? Niech będzie Stanisław Nowak. Zgodzi?

— Niech tak będzie, ale proszę stawiać mi pytania, ponieważ tak wiele spraw zatarło mi się w pamięci, że nie wiedziałbym od czego zacząć swoją opowieść.

— Proszę mi powiedzieć, jak utrwalił się w pana pamięci ostatni dzień wolności i pierwszy dzień niewoli. Czy zagarnęły pana niemieckie wojska jako uciekiniera na drogach wrześniowej wędrowki?

— Jako mieszkaniec Warszawy podporządkowałem się wezwaniu pułkownika Umiaszowskiego, skierowanemu do mężczyzn zdolnych do służby wojskowej, aby wstąpić do miasta. Nie daleko uszliśmy, bo niemieckie kolumny były szybsze i wkrótce z całą falą uciekinierów zawróciłem do Warszawy tuż przed jej otoczeniem przez Niemców. Przeżyłem potem całe oblężenie Warszawy i ostatnim dniem wolności był ostatni dzień obrony a pierwszym dniem niewoli wkroczenie wojsk okupanta do stolicy, co przeżywałem wszyscy jako katastrofę.

— Na dodatek zaczął pan od razu egzystować na zasadzie specjalnego prawodawstwa obejmującego ludność żydowską, musiał pan założyć opaskę, przenieść się do getta.

— Tak się złożyło, że mieszkaliśmy przed wojną w rejonie, który został włączony do getta, a do pracy skierowano mnie akurat do fabryki Döringera przy Grzybowskiej, w której kiedyś przedtem pracowałem jako inżynier. Znajdowała się ona poza gettem. Codziennie więc udawałem się z grupą pracowników żydowskich pod uzbrojoną eskortą z getta na stronę aryjską i co dzień na noc wracałem do getta.

— Czy przewidywał pan od samego początku, że szykuje się wobec was bezprzykładna zbrodnia ludobójstwa? Czyta się, że pewna, stosunkowo nieliczna część społeczności żydowskiej żyła w getcie dzięki pieniądзом niemal w luksusie, kontrastując jaskrawie z masową śmiercią głodową. Ludzieli się oni dość długo, że uda się im uniknąć najgorszego...

— Tak, niektórzy stawiali się nawet dobrowolnie na „Umschlagplatz” myślać, że wiada do jakiegoś kraju neutralnego, a kierowano ich, jak wiadomo, do Treblinki. Wiem też, że bogaci Żydzi z Zachodu, np. okupowanej Holandii, przewożeni byli na wschód w komfortowych warunkach i do ostatniej chwili wierzyli, że są „przesiedlani”, a dopiero na

obozowej rampie zaczęli odcinać całą grozę swojego położenia. Należałem jednak do tych, których życiowa sytuacja nie stwarzała takich złudzeń i szybko zorientowałem się w zbrodniczych zamiarach i posunięciach władz hitlerowskich, choć przed wojną trudno było sobie coś takiego w ogóle wyobrazić w cywilizowanej, bądź co bądź, Europie.

— Do kiedy trwały te codzienne wędrowki do pracy poza getto i z powrotem?

— Pewnego dnia, a było to w przeddzień powstania w getcie, dowiedziałem się w fabryce od jednego z pracujących tam Polaków, że podobno Niemcy coś w getcie szykują, a więc z pewnością nie dobrze. Zdałem sobie sprawę, że trzeba coś przedsięwziąć, póki nie jest za późno. Najpierw cała grupa została odprowadzona do innego oddziału fab-

ryki. Również przy Grzybowskiej, w dawnej szkole mechanicznej, gdzie pracowali również Polacy i Żydzi. Zanim jeszcze niemiecki funkcjonariusz kazał wszystkim pracującym zebrać się na dziedzińcu, udało mi się niepostrzeżenie przemieścić do biura konstrukcyjnego fabryki, gdzie doznałem osłnienia, że najlepszą kryjówką będzie ogromna szafa z opuszczanymi żaluzjami zamiast drzwi. Żaluzje te nie opuszczały się do samego dołu. Była tam spora szuflada. To w niej się schowałem, nakrywając się różnymi papierami. Przy podniesionej żaluzji szafa sprawiała wrażenie pustej i to mnie uratowało. A tymczasem na dziedzińcu rozdzielono pracowników na dwie grupy, po czym Żydów natychmiast wyprowadzono, najpewniej do getta. Po jakimś czasie wbiegłem się w tłum wychodzących z fabryki Polaków. Dotarłem do mieszkania znajomych przy ul. Pańskiej, gdzie udzielono mi schronienia.

— Wyobrażam sobie, że w tych warunkach dni i tygodnie jakby zlewają się w jeden ciąg, ale może były jakieś wydarzenia, które się panu szczególnie upamiętniły.

— Owszem, zdarzyło się coś, co dziś może się komuś wydawać zabawne, dla mnie były to jednak godziny grozy. Otóż w czasie jednego z radiocich nocnych nalotów runęła ściana do sąsiedniego mieszkania odslaniając moją kryjówkę. Schowałem mnie w innym pomieszczeniu, a wynajęty murarz postawił szybko nową ścianę. Kiedy wybuchło powstanie warszawskie i mogłem po upływie półtora roku, bo tyle minęło od wybuchu powstania w getcie, opuścić swoją kryjówkę, dowiedziałem się, że po drugiej stronie owej przetrwałej ściany ukrywał się również Żyd, który, podobnie jak ja, drżał ze strachu przed sąsiadem zza ściany.

— Czy powstanie warszawskie upamiętniło się panu czymś szczególnym?

— Powstanie przeżywałem jako okres dwumiesięcznej wolności. Pełen nadziei, które zresztą szybko się rozwinęły. Nadeszła kapitulacja i znów musiałem pomyśleć o znalezieniu kryjówki, żeby uratować życie.

— Czy jednak mimo wszystko nie przychodziło panu wtedy na myśl, żeby wybrać ryzyko wyjścia z Warszawy z tłumem opuszczającej ją ludności, zamiast ryzykować ukrycie się w gruzach w czasie zbliżającej się zimy i nie wiadomo na jak długo?

— Myślałem, że innym ukrywającym się mogło się to trafić, i mogli nawet ulec powtarzającym się co jakiś czas nawoływaniom Niemców, którzy przez megafony wzywali do polskiego ukrywających się Żydów, żeby wychodzili, gdyż dom, a raczej to co z niego pozostało, będzie wysadzane w powietrze. Słyszeliśmy te wezwania, ale w ich dobre intencje nie uwierzyliśmy ani przez moment. Nieraz zresztą po takim wezwaniu słychać było strzały, a już po wyzwoleniu znaleźliśmy zastrzeloną kobietę na niedalekim podwórzu.

— Zgodzi się pan ze mną, że zamiast zdejmowania „przez” Niemców, trafniejsze byłoby użycie przez pana zwrotu zdejmowanie „przed” Niemcami, jest bowiem powszechnie znane, że nie mieli oni, z wy-

jątkiem może volksdeutscheów, żadnego daru rozpoznawania Żydów. Ale jak pan wynalazł odpowiednią kryjówkę?

— W dniu wyścia ludności, tj. 7 października 1944 r., miałem już upatrzoną, a właściwie zdecydowaną się na nią wraz z młodą Polką, inwalidą z powstania, którą miałam zamierzać pozostawić w Warszawie, razem ze swoją narzeczoną. Ona jednak stanowczo odmówiła i oboje wyszli z Warszawy, o czym wspominałam, bo ma to znaczenie dla późniejszych faktów. Otóż z dwiema kobietami, Żydówkami, ukrywałem się w burzonym domu obok Kościoła Wszystkich Świętych, przy placu Grzybowskim. Dojście do kryjówki prowadziło przez gruz domy, przy ulicy Marińskiej. W jednej z ocalałych piwnic mieściła się przedwojenna piekarnia. Z sąsiednich domów ściągaliśmy tu materace i różne bezy na wszelkie wy-

godne leża. Mieliliśmy z sobą trochę ususzonego chleba, trochę też ziarna zbożowego i znalezionej młynki od kawy, dzięki czemu kreciliśmy make. Mieszaliśmy z wodą i smażyliśmy placki na skromnym zapasie topionej słoniny.

— Mielicie więc piec, ale że też nie bałicie się, że tym może zdradzić waszą obecność.

— To nie był najważniejszy problem, paliliśmy w ścianie tej skądś kanonkę tylko więziorami i z zewnątrz nie było widać dymu, który wydostawał się wysoko w górę różnymi szczelinami. Nie było również problemu z opałem, bo drewna było dość, choćby w postaci różnych mebli czy skrzyń. Prawdziwy problem stanowiła woda, której zabrakło, licząc sobie kilka wiader zaczęliśmy szybko wyczerpywać, mimo iż od razu zrezygnowaliśmy z komfortu mycia.

— Przepraszam, a co z zaleganiem potrzeb naturalnych?

— Istotne pytanie. Otóż zalegaliśmy w tej dość odległej piwnicy. Powiniemem jeszcze wspomnieć o szczurach, które bezkarnie wędrowały całymimi stadami w te i z powrotem przez nasze „mieszkanie”. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że w gruzach pobliskiego zawałonego domu pozostali zwłoki kilkunastu osób, co stanowiło żer dla gryzoni. Może dzięki temu nie przejawiali szczególnego zainteresowania nami. Ale wróćmy do sprawy najważniejszej, decydującej o szansach przeżycia. Otóż w poszukiwaniu wody, odbiliśmy przylegającym skądś kilofem kafele, którymi była wyłożona posadzka naszej byłej piekarni, a następnie saperką, o którą wcześniej zdabłem, zaczęliśmy kopać dół. W twardym podłożu, przy osypuści się ziemi, która trzeba było usuwać i wynosić, była to bardzo ciężka robota dla wycieńczonego z głodu człowieka, ale widmo zagrożeń nam śmierci okazało się silniejsze i wreszcie po kilku dniach dokopałem się na dwóch metrach głębokości do wody, oczywiście podskórnej. Stanowiło to istotny przełom w warunkach naszego bytowania, mogliśmy zmywać naczynia i myć się, a nawet robić przepierki w celu topienia naszych wszy i pcheł.

— No, a gdyby ta woda się nie znalazła, czy nie wyszlibyście z kryjówki, licząc na jakiś szczęśliwy traf natknięcia się na jakiś zapas choćby najbrudniejszej wody?

— Myślałem, że innym ukrywającym się mogło się to trafić, i mogli nawet ulec powtarzającym się co jakiś czas nawoływaniom Niemców, którzy przez megafony wzywali do polskiego ukrywających się Żydów, żeby wychodzili, gdyż dom, a raczej to co z niego pozostało, będzie wysadzane w powietrze. Słyszeliśmy te wezwania, ale w ich dobre intencje nie uwierzyliśmy ani przez moment. Nieraz zresztą po takim wezwaniu słychać było strzały, a już po wyzwoleniu znaleźliśmy zastrzeloną kobietę na niedalekim podwórzu.

— I w tych warunkach doczekaliście się, po blisko czterech miesiącach ukrywania, wyzwolenia Warszawy. Jak to było? Jak przeżyliście pierwsze chwile wolności?

— Był to taki sam mroźny

dzień, tak łny, tak samo szliśmy od czasu do czasu i pewnej odległości większą, czy mniejszą strzelaninę. Na co zresztą od dawna przestaliśmy zwracać uwagę. Było pewnie ciszej niż zwykle i nagle usłyszeliśmy w pobliżu meki głos: — Wychodźcie, jesteście wolni! Usłyszeliśmy, że ktoś się dobija wysoko w górę do wejścia do naszej kryjówki. Myśleliśmy, że to Niemcy, dopiero jak nam wyjawili kim jest, a był to ten młody inwalida, o którym wcześniej wspominałem, zaczęliśmy wychodzić na zewnątrz.

Byłem oszołomiony i kompletnie otepiły, zapewne z tak długiego, bo w sumie przecież kilkuletniego wywiezowania na wolność. A wreszcie to, co się stało, docierało do mojej świadomości, jak fakt niemal obłędny, trochę jakby dotyczył on kogoś mi obcego. Bo przecież, to już nie byłem

ten „ja”, sprzed paru lat, z okresu normalnego życia. Zresztą trzeba to gwoi! prawdziwie powiedzieć, że pierwsze obrazki wolności wcale nie były zachęcające, bardzo dalekie od wyobrażeń o wspólnej radości i zbliżaniu wszystkich, którzy doczekali. Na ulicach Warszawy pełno już było ludzi (zapałaliśmy dodać, że miasto było wolne dzień wcześniej, o czym dopiero się dowiedziałem). To nie byli jeszcze powracający do swych mieszkań lub na swoje grunty wędrowni warszawiacy, bo ci nie zdążyli jeszcze dotrzeć. Był to przełomny element z podwarszawskich wiosek, którzy szybko i sprawnie grabili do czysta ocalałe mieszkania z czego się tylko dało, co mogło się do czegośkolwiek przydać. Rdzenni warszawiacy zaczęli powracać w najlepszym razie do goliw ścian...

— Jak odbywał się pański powrót do — nazwijmy to tak — normalnego życia?

— Okazało się, że oprócz jednego z braci, który mieszkał na Pradze straciłem wszystkich najbliższych i dalszych krewnych, a także najbliższych przyjaciół. Musiałem się poddać i podreperować psychicznie. Przyswoiłem do nowego świata, innego niż ten, który znałem dawniej. Dopiero w 1946 r. przyjechałem do Łodzi, by rozpocząć tu pracę w swoim zawodzie, jako inżynier elektryk i pozostałem już na stałe, pracując przez wiele, wiele lat aż do stosunkowo niedawnego przejścia na emeryturę. Moja żona, która poznałem po wojnie, też straciła wszystkich swoich bliskich.

— Czy często wraca pan w myślach lub snach do tamtych lat i wydarzeń?

— Miałem długi okres bezsenności nocy, które zdarzały mi się i obecnie, a gdy się nie śpi, trudno odpędzić cisnące się wspomnienia. Co do snów, to wie pan, prawie nigdy nie przyśniło mi się coś z tamtych zdarzeń doświadczeń, w dokladnym przebiegu. Natomiast przeżywałem w snach straszny koszmar jakiejś sytuacji bez wyjścia, bez ratunku, ale nie na zasadzie „odbitki”, lecz odpowiednika.

— A jak pan myśli? Czy ludzie po tak strasznych przeżyciach stają się lepsi, mądrzejsi, życzliwsi, mniej małostkowi, czego się od nich oczekuje?

— Może i powinno być tak, jak się oczekuje, ale chyba bardzo różnie z tym bywa. W każdym razie powinni być rozumniejsi i zdawać sobie sprawę, że nie wolno dopuścić, żeby coś takiego mogło się powtórzyć. Wydarzenia w różnych zakątkach świata dostarczały jednak powodów do niepokoju...

— Zgadza się pan, że i co do tego, że należy być bolesne doświadczenia ludzkości zachować w pamięci, właśnie jako ostrzeżenie.

— I dlatego, choć nie bez oporów, przystałem na te nasze rozmowy.

— Serdecznie panu za nią dziękuję, myślę też, że nasi Czytelnicy chętnie się z nią zapoznają.

Rozmawiał:
JERZY
KWIECIŃSKI



Mówi: ARNOLD MOSTOWICZ

— Jest pan łodzianinem, ale losy rozłączyły pana z Łodzią.

— Opuściłem Łódź zaraz po maturze. Nie mogłem się w Polsce dostać na studia medyczne. Rozumie pan, pochodzenie... Musiałem więc wyjechać na studia do Francji.

— W którym to było roku?

— W 1932. Na szczęście wówczas krążenie między Polską a Francją nie natrafiało na tyle komplikacji, co dzisiaj. Dlatego też mogłem przyjechać na wakacje do kraju.

— Gdzie pan mieszkał?

— Mieszkaliśmy z rodzicami — do okupacji — przy ulicy Gabrieli Narutowicza 58. Muszę panu powiedzieć, że ulica ta, która teraz może rozmawiając z panem oglądać przez okno, jest mi szczególnie bliska. Prawie o każdym z domów, od Piotrkowskiej do placu Dąbrowskiego, potrafiłbym coś powiedzieć. Pod numerem na przykład 23 mieszkał mój dziadek i tam też początkowo rodzice moi zamieszkałi. Mój dziadek przed pierwszą wojną światową i tuż po niej był znanym w Łodzi felczerem, a felczer w owych czasach, to była pojęcia zawodowa dość wysoka. Jego syn a brat mojej matki prowadził w latach dwudziestych i trzydziestych coś w rodzaju impresariatu. Sprowadzał do Łodzi najwybitniejszych wówczas wirtuozów europejskich i dyrygentów. Aby zaoszczędzić na hotelu wyjechał wielu z nich lokował w obywatelnym mieszkaniu moich dziadków. Dzięki niemu już w dzieciństwie dostąpiłem pierwszej inicjacji muzycznej, mogąc bezpłatnie dostać się na koncerty i poranki w Filharmonii — wówczas Sali Koncertowej — mieszczącej się również na Narutowicza. Wujek dzierżał również słynny wówczas „Grand-ogród”, który mieścił się na tyłach Grand Hotelu. W tym ogródku, na terenie którego znajduje się teraz Pałac Młodzieży im. Juliana Tuwima, uczyłem się do matury...

— Wrócił pan do Łodzi po ukończeniu studiów.

— Do Łodzi wróciłem w lipcu 1939 roku. Miałem nadzieję, że będę mógł jeszcze powrócić do Francji, gdzie chciałem specjalizować się w neurochirurgii u Clovis Vincenta. W sierpniu pojechałem, jak to się wtedy mówiło, na letnisko do Włodzisławowa pod Piotrkowem.

Z początkiem października 1939 roku wróciłem do Łodzi. Gdzieś w listopadzie Niemcy zarządził podział pogotowia ratunkowego: osobne było dla Polaków i Niemców, osobne dla Żydów. W pogotowiu podległym gminie żydowskiej rozpocząłem pracę w listopadzie 1939 roku.

— Jak potoczyły się dalej pańskie losy?

— Razem ze stu sześćdziesięcioma tysiącami Żydów łódzkich zamknięty zostali w drutami getta. Mieściło się ono na terenie Bałut. Panowały tu straszliwe warunki mieszkaniowe i sanitarne, które trudno sobie dzisiaj wyobrazić. Przesiedlono tutaj jeszcze dwadzieścia tys. Żydów z Niemiec, Austrii i Czech oraz z małych miasteczek wokół Łodzi. Pracowałem w pogotowiu i jednocześnie jako lekarz w szpitalu dla zakaźnie chorych. Pełniłem również obowiązki lekarza sanitarnego, a pod koniec, po ciężkim durze brzusznym, który przeszedłem, pracowałem już tylko jako lekarz zakładowy, a właściwie resortowy. Zbrojny opór był niemożliwy w warunkach utworzonych przez włączenie Łodzi do Trzeciej Rzeszy. Getto było właściwie otoczone przez ludność niemiecką i całkowicie odizolowane. Nie było mowy o jakimś szmuglu broni. Niemniej ruch oporu miał w getcie łódzkim do zanotowania szereg interesujących osiągnięć, o których mam nadzieję, kiedyś jeszcze napiszę. Kilkunastu członków tego ruchu zostało w 1963 roku udekorowanych przez ówczesnego I sekretarza KC PZPR — Michalina Tatarskiego-Majkowską, odznakami honorowymi Łodzi. Miałem zaszczyt znaleźć się wśród nich. Wspominam o tym szerzej dlatego, że uważam, iż jest rzeczą więcej niż przykra, że o Żydach łódzkich, o ich tragicznym losie wspomina się bardzo rzadko i to tylko do święta. Ludzie tego miasta nie wiedzą nie albo prawie nie o tej części jego mieszkańców, którzy do 1939 roku współtworzyli tęjszy przemysł, współkształtowali oblicze i kulturę miasta. To wsłdy.

— Kiedy zlikwidowano łódzkie getto?

— Jako ostatnie getto w Polsce zostało ono zlikwidowane w sierpniu 1944 roku. Pod koniec sierpnia trafiliem do Oświęcimia. Później stamtąd do wielu innych obozów. Poprzez Jelenią Górę, Cieplice, Olszynie skończyłem wojnę w obozie w Kołcach. W Cieplicach przeszedłem „Kur plamisty, a wojnę zakończyłem ciężko chory na gruźlicę płuc. Z tego też powodu nie mogłem ciężko pracować, a lekarze zażądali po prostu bym porzucił medycynę.

— Czym się pan zajął?

— Zaczęłem pisać. Pisałem felietony w organie KW PPR we Wrocławiu — „Trybunie Dolnośląskiej”. Później tej redakcji naczelny Tadeusz Galiński skłonił mnie, bym przyjął etat i tak się zaczęło... Organizowałem organ KW PZPR w Poznaniu „Zorganizowałem „Gazetę Krakowską”, której redaktorem byłem przez sześć lat. Przeniesiono mnie następnie do Warszawy, do „Szpilek”, którymi kierowałem przez lat piętnaście. W 1969 wyrzuceno mnie ze „Szpilek” w okolicznościach, o których teraz nie ma sensu wspominać. Przez trzy lata pracowałem w miesięczniku „Ty i Ja”, który w 1973 roku zamknął z argumentacją, że jego poziom jest za wysoki... A potem już emerytura...

— Pisać pan nie przestał.

— No, dużo pisałem. W „Szpilekach” prowadziłem cotygodniowy felieton „Listy Teofila”. Opracowałem antologię humoru francuskiego, której dwa wydania ukazały się nakładem „Iskier”. Wydałem tom humorów Alfonsa Allais i genialnego humorysty francuskiego — Camille’a. Później, Później wróciłem ołkiem do tematyki, która porzuciłem, rzucając medycynę. Wydałem trzy tomy felietonów biologicznych („Biologia zmienia świat” — 1973, „Biologia zmienia medycynę” — 1982 i „Biologia uczy myśleć” — 1988). Za pierwszą z tych książek otrzymałem nawet nagrodę im. Brunona Winawera. Jednocześnie porwala mnie tematyka dotycząca zagadek naszej cywilizacji. To mnie zafascynowało. Wydałem w 1980 roku książkę „My z kosmosu” oraz w 1987 „O tych, co z kosmosu” — obie nakładem KAW. W PIW-ie ukaza się w tym roku książka — „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”.

— Wkrótce na łamach „Odgłosów” będzie drukowana pańska proza. Co pan nam zaproponował?

— Kilkaście opowiadań ze wspomnianego wyżej tomu. Opowiadania te dotyczą moich przeżyć między utworzeniem łódzkiego getta a końcem wojny.

— Co pana dzisiaj sprowadza do Łodzi?

— Kiedy tylko mam okazję, chętnie tutaj wracam. Wracam, aczkolwiek obok wspomnień, które rozjaśniają czasy mojej młodości, ulice miasta niosą także echo wydarzeń tragicznych. Sprawiają one, że czasami czuję, się, jakbym chodził po alejach cmentarnych. Tutaj zginęła olbrzymia część mojej rodziny i wielu bliskich mi ludzi... Ale mimo, że losy rzucały mna po różnych miastach i miejscach, czuję się łodzianinem. Dla mnie Łódź pozostanie zawsze miastem wyjątkowym... Wie pan, do dzisiaj pozostałem kibicem ŁKS. Jestem nim od 65 lat. Oczywiście kibicem platonicznym, bo na mecze nie chodzę. Mogłbym dzisiaj podać panu skład ŁKS z lat dwudziestych...

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Wyjazd

Płynąłem autostradą krajobrazy zapraszały na filiżankę świeżego powietrza wysiadłem nad skarpą orzeźwiającej natury w dole rzeka operowała zarodkiem inwazji człowieka musiałem wracać rozogniona zieleni odmówiła azylu

Półka z książkami

ŁÓDŹ W CIENIU SWASTYKI

W „Bibliotece Łódzkiej” ukazała się od dawna oczekiwana książka Pawła Dziecińskiego „Łódź w cieniu swastyki”. Jest to pozycja wydawnicza niezwykła, bo przedstawiająca Łódź, jakiej nie pamiętają roczniki powojenne. Jest to księga wielkiego miasta mająca rozdziały takie, jak: Złoty wiek, Wylęganie, Kolonizacja, Dyskryminacja, Grzebię i niewolnicza praca, Eksterminacja... A więc historia miasta zapisana terrorem, krwią i śmiercią, historia dzieląca się w cieniu hitlerowskiej swastyki.

Paweł Dzieciński Łódź w cieniu swastyki. KAW w Łodzi 1988. Str. 144. Cena 300 zł.

PRZYGODA, PRZYGODA

Książka dla młodzieży, ale i dorośli z zainteresowaniem przeczytają o niezwykłych przygodach Janka Wichrzyckiego, który przeżywa nieprawdopodobne przygody w stylu filmów sensacyjnych produkowanych przez Hollywood. Jest tu wszystko czego wymaga klasyczny wzór tego gatunku: powieści, strzały, pościgi, trupy, walki, ucieczki, inspektorzy policji kryminalnej, a nawet rekin ludojad (a wszystko dzieje się gdzieś w lańcuchu Wysp Karaibskich, więc w okolicy nader dla nas egzotycznej). U podłoża tych zapierających dech w piersi zdarzeń jest oczywiście złoto, które mać ludzki rozum i popycha do zbrodni.

Jan Kraske: Strainley północnej rafy. KAW w Łodzi 1988. Str. 182. Cena 340 zł.

Z MĄDROŚCI TALMUDU

Książka, po którą ustawiały się kolejki, i którą sprzedawano spod ląd. „Talmud” — jeden z najstarszych zbiorów myśli ludzkiej — w niewielkim wyborze został wreszcie udostępniony polskiemu czytelnikowi. Jest to wydanie znające zarówno czytelnika, jak i kulturalnie. Ważny w tym jest nie tylko wybór „mądrości”, ale i obszerny wstęp oraz postawione poswiecone do „Talmudu”. A oto kilka „mądrości”: „Im większy talent, tym większa odpowiedzialność”, „Biedny jest tylko ten, kto nie ma wiedzy”, „Właściwe słowa we właściwym czasie — to jak chleb w czasie głodu”.

Wybór i przekład Szymona Dintera i Anny Kamińskiej.

z mądrości Talmudu. PIW 1988. Str. 400. Cena 1.100 zł.

Oprac.: E. IW.

Niezbyt często się zdarza, abyśmy na łamach „Odgłosów” recenzowali publikację naukową, ale też rzadko trafia się książka, w której rzetelność i wnikliwość badawcza, ważność poruszanych w niej problemów idzie w parze z klarownością wykładu, z precyzją wniosków i też badaw-

go, Waśkiewicza, Stermi, Wachowiaka niewiele już można dodać do wiedzy o prądach awangardowych, łódzki badacz wszakże wyszedł poza polskie opłotki, interesuje go awangarda pojmowana jako pewna postawa w sztuce (szerzej — w kulturze), której nie sposób ogarnąć przez po-

„strategii” oraz „światopoglądów” awangardowych, syntezy awangardy wobec tradycji kulturowej i niebanalnie (często bowiem był to problem zapoznany w tych badaniach) przywołuje związki awangardy i marksizmu. Bogate przypisy, obszerna bibliografia

Co to jest awangarda?

czych. Do takich opracowań, które nie tracąc ze swego statusu naukowości mogą trafić do szerszego kręgu odbiorców stanowią dla nich pouczającą lekturę, należy książka Grzegorza Gazdy „Awangarda — nowoczesność i tradycja”, wydana przez WL w 1987 r. Grzegorz Gazda dowiodł już w poprzedniej swej rozprawie („Futuryzm w Polsce”), że jest odważnym tropicielem historycznoliterackich mitów, bowiem wbrew powszechnym sądom o nikłości futurystycznego trendu w Polsce wykazał nie tylko genezę, dynamikę, ale także wpływ polskiego futuryzmu na modelowanie poezji współczesnej. W omawianej tu książce postawił sobie jeszcze ambitniejsze zadanie. Wydawać by się mogło, że po rozprawach Lama, Jaworskie-

wszechnie stosowaną taksonomię: grupa literacka, program, poetyka. Co więcej — ustalając niejednorodną genezę samego zjawiska „Awangardyzmu”, rozpatrując je w historycznoliterackich kontekstach autor dookreśla nie mniej zawiślane pojęcie „nowoczesności”, które wszystkie ruchy awangardowe wpisują na swoje sztandary. Tytuł książki jest przeto adekwatny do rozpatrywanych w niej problemów. Z niezmierną i pouczającą rzetelnością badawczą zastanawia się Gazda nad funkcjonowaniem pojęcia awangardy w krytyce i badaniach nad literaturą XX wieku, wskazuje na jej genetyczne uwarunkowania społeczno-kulturowe, określa stosunek programu do poetyki wyznaczony przez zbieżność lub rozmiłanie się

zawierająca także mniej znane i rzadko cytowane pozycje dodatkowo jeszcze podnosząca walor tej książki, która może być uznana za wzorcową rozprawę naukową. Jest to także — o czym wspomniano na początku — praca o dużej edukacyjnej nośności, stwarzająca możliwość lektury nie tylko dla wąskiego kręgu specjalistów. Sądzę, że młodzież o humanistycznych zainteresowaniach sięgnie po tę książkę, by otrzymać odpowiedź na pytanie, czym jest właściwie awangarda.

HENRYK PUSTKOWSKI

Grzegorz Gazda — Awangarda — nowoczesność i tradycja. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1987, s. 290 cena 400 zł.

Na światowych rynkach

Na światowych rynkach wydawniczych nie ma posuchy. Na obu półkulach rozgrywa się typowe, dla obu stron, wydarzenie. W Związku Radzieckim — podobnie jak u nas — krytycy odkrywają pewne prawdy, które sytuują książkę w pewnej konfiguracji, na Zachodzie zaś — walka o czytelnika zaczyna przybierać formy, które dla polskich autorów brzmią jak abstrakcja.

Felietonista „Literatury i Gasieli” Feliks Krywin z ironią przedstawia kłopoty radzieckich wydawców. — Mówi się teraz wiele — pisze Krywin — o tzw. literaturze komercyjnej. A co to jest? Jest to literatura, która przynosi dochód. Na przykład „Trzech muszkieterów” wydaje się po to, aby podtrzymać „Trzech górników”, „Czterech kombatantów”, a także dyrektora, redaktora naczelnego i cały pozostały aparat wydawniczy. Jeśli by wydać tylko „Górników” i „Kombatantów”, wydawnictwo spłatałoby, ponieważ czytelnicy nie zechcą na nich tracić środków, przeznaczonych na lekturę. Z drugiej jednak strony, gdyby wydać tylko „Muszkieterów”, może to wzbudzić zainteresowanie zwierzchnictwa: „Cóż to, kochani, zapomnieliście, że literatura powinna wychowywać? A kogo wy chcecie wychowywać? Muszkieterów?”

Tak więc to, co się dzieje na radzieckim rynku wydawniczym nie jest nam obce. Za to obce, ba, niebotycznie wręcz brzmi wszystko to, co rozgrywa się na zachodnim rynku księgarskim.

Szczególnie dla polskich autorów. Otóż prawdą jest, że na Zachodzie książka staje się towarem coraz droższym. Jednakże na tamtejszym rynku na jej cenę wpływają w znacznym stopniu zawrotne honoraria, wypłacane przez firmy wydawnicze autorom tzw. bestsellerów, czyli najlepiej rozchodzących się pozycji wydawniczych.

Za prawo opublikowania czterech książek Mary Higgins Clark, autorki bardzo poczytnych powieści sensacyjnych, „Simon and Schuster” zapłacił niedawno 10 mln dolarów. Ale nie jest to rekord. Trzy lata temu James Clavell, twórca „Shoguna” i „Króla szczytów” otrzymał 5 mln dolarów za jedną tylko pozycję „Whirlwind” (Trąba powietrzna). Dalszy ciąg „Przemienieństwa” kosztować będzie Warner Books również prawie 5 mln, a renomowany Random House zapłacił 9 mln za napisanie jeszcze trzech powieści Barbary Taylor Bradford.

Jak z tego widać, książka jest wciąż dobrym interesem, przynajmniej dla autorów. Na Zachodzie, oczywiście, gdzie autor łansuje się — jeśli tylko daje nadzieję na zarobek — jak to się u nas ładnie powiada: promuje, czyli robi dużo hałasu wokół swojego autora, jak i wydawanej pozycji.

Komut by się u nas chciało zajmować jednym autorem, skoro na naszej głowie spoczywają troski całego świata? Oczywiście nie wszyscy auto-

rzy na Zachodzie zdobyli wysoką pozycję rynkową (finansową, ma się rozumieć), taką jak Mary Higgins Clark czy James Clavell. Nawet najwybitniejsi w światowym prestiżu literackim, jak Saul Bellow, decydują się na zaskakujące przedsięwzięcia, które szokują. Nie z biedy, ma się rozumieć.

Oto niedawno właśnie Saul Bellow postanowił sprzedać materiały i szkice wykorzystywane podczas pisania swojej powieści „Mr. Sammler's Planet”, wydanej w 1970 roku. 7 lipca nowojorski oddział londyńskiej firmy aukcyjnej „Sotheby's” wystawił „pod młotek” 4 notesy, brudnopisy i maszynopisy powieści Bellowa.

Jest to pierwszy przypadek sprzedaży archiwum żyjącego pisarza. Sądzić jednak należy, że nie kłopoty finansowe skłoniły wybitnego noblistę do wyprzedania swoich archiwaliów, lecz że jest to jedna z form promocji, klaki, jak byśmy to po naszymu powiedzieli, a więc zabiegów popularyzujących twórcę, których długo jeszcze przyjdzie się uczyć, zarówno naszym księgarzom, wydawcom, jak i tym wszystkim, którzy z pracy pisarza żyją.

MAREK BRUK

PESTKI DYNII

Toczy się u nas ogólnonarodowa walka z brudem, niechlujstwem i abnegacją porządkową... Ma to doprowadzić do uzdrowienia i ciała i duszy. Wszystkie środki przekazu informują o postępach w tej walce, które są żadne, bo nie idzie o pokazywanie czy opisywanie, a o skuteczne sankcje i rzeczywiste egzekwowanie stanu czystości...

Reportaże z pracy komisji robotniczo-chłopsko-milicyjno-inteligentkich tropiących ofiarne brud i nieporządek i podworkowe ogląda się z zapartym tchem, jak filmy o dzielnych i nieprzekupnych „brygadach tygrysich” z czasów prohibicji amerykańskiej; w każdym razie ogląda się je sto razy lepiej niż rodzime filmy kryminalne; zawsze jest tu wartka akcja, ciekawe plenery i zaskakująca pointa...

Brud, cośmy nim obrosli nie jest dzisiejszy ani wczorajski, ani przedwczorajski... To stary brud, który wżarł się głęboko w nasze myśli i wście, w naszą kulturę i obyczaj, w naszą mentalność i psychikę... Nie usunie się go od razu, ani za rok... Może trzeba będzie pokoleń, dwóch...? Mamy tu bowiem do czynienia ze zjawiskiem podobnym do obumierania tkanki — musi wyrosnąć nowa. A na to trzeba czasu i cierpliwości; ale też ciągłego, codziennego działania, bezustannego szorowania, mycia, zamiatania, porządkowania, naprawiania i napominania, i na koniec dotkliwego karania, jeśli ktoś przestanie pucować klozet i myć zęby...

Jak ktoś przez 40 lat nie mył zębów a kapał się i zamiatał chałupę raz koło Wielkiej Nocy, to kapać się i sprzątać codziennie nie będzie, a i zębów myć nie zacznie. Takiemu woda szkodzi. Ale jego dzieci, a ma je na pewno i to na pewno w dużej ilości, powinny myć zęby codziennie i kapać się częściej... Dlatego szkoła, organizacje, i wszyscy świadomi faktu, że jest u nas brudno, i że sami jesteśmy nie najczystszy, winni starać się wychować pokolenia czystych i sprząających...

Chodzę z psem na spacer i czasami idę ulicą Kaliską. Na końcu ulicy Kaliskiej jest szkoła nr 124 im. N. Krupskiej, dalej jest skarpa obrosła krzakami, a za nią zajezdnia tramwajowa; wzdłuż Kaliskiej stare drzewa, stare domy, trawniki, prawie romantyczny zakątek... nieprawdopodobny brud i niechlujstwo wokół i na zapleczu szkoły... I to od lat! Ponury pejzaż ponurej abnegacji.

Czy dzieci nie mogłyby posprzątać? Czy dyrektor i nauczyciele w tej szkole to ludzie bez wyobraźni, czy po prostu brudasy? Tak się pokolenia czystych nie wychowa.

ANDRZEJ GRUN



Rys. Jarosław Grzelka

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Y. MENUHIN O MUZYCE

„Muzyka nadaje się na wszystkie okazje, na wojnę i pokój, na pogrzeby i święta, również na to, by słuchać jej całkowicie abstrakcyjnie siedząc w sali koncertowej czy w zupełnej samotności. Dziś nawet opór można słuchać w domu. Dawniej tego nie było. Tylko książęta mogli sobie kazać zaprezentować operę. W tym sensie dziś każdy jest księciem. W gruncie rzeczy niebezpieczeństwem nadużywania wielkich dzieł jako muzyki biesiadnej istnieją raczej w domu. A jeszcze gorzej, że w telewizji ogląda się dziś rzeczy tak okropne, i w tym samym czasie, opowiada się dowcipy i je. Naprawdę należałoby sobie mówić: teraz słucham muzyki, teraz wiadomości, teraz czytam gazetę albo książkę. Myślę, że jeszcze w żadnej epoce nie oddziaływało na człowieka tak wiele czynników naraz. Muzyka płynie ze wszystkich stron, wszelkie rodzaje muzyki, tysiące pomysłów, które się z sobą zderzają... W system wychowawczy należałoby wbudować jakieś ramy, które ponownie stwarzałyby związki między różnymi sprawami pozornie nie mającymi ze sobą nic wspólnego... Muzyka może być wielką pomo-

cą, a przy tym radością. Wykonywanie muzyki to doświadczenie równowagi między wysiłkiem a rezultatem. Zaangażowany jest cały człowiek, zarówno emocjonalnie jak i intelektualnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że muzycy są lepszymi ludźmi. Ale u prawników muzyki jest dobrym ćwiczeniem, gdyż uczy na nowo rozumieć własne uczucia...” (Z wywiadu Yehudi Menuhina dla „Die Welt”).

WIELKI DRAMAT

„Biblioteka Akademii Nauk w Leningradzie była piątą pod względem wielkości biblioteką na świecie: 18 mln woluminów, z czego 12 znajdowało się w głównym gmachu — pisze Andrea Bonanni w „Corriere Della Sera”. — Została założona w 1714 roku przez Piotra Wielkiego... Prowadzi się śledztwo w celu ustalenia przyczyny pożaru. Sprawa wydaje się jednak niewytłumaczalna. Automatyczny alarm wyciął się 14 lutego o godz. 20.30 w dwie godziny po zgłoszeniu przez strażnika wszystkich światła elektrycznych. Biblioteka była zamknięta, pusta... Pożar strawił 388 tys. woluminów oraz jedną czwartą zbioru czasopism obejmującego wszystkie publikacje prasowe ZSRR od 1917 roku. Największe jednak

szkody wyrządzili strażacy. Przez dwa dni 25 motopomp zalewało bibliotekę wodą, a strażacy wyrzucali przez okna całe półki książek. 3,5 mln książek zostało uszkodzonych przez wodę lub w inny sposób... Zostało zniszczonych 178 tys. książek obcojęzycznych z okresu od 1600 do 1930 roku. Całkowicie spaliła się cała stara kolekcja książek kurlandzkich, a także księgozbiór wydziału medycyny zawierający m.in. dzieła z XVIII wieku. Zdżeszłakowana została biblioteka Radziwiłłów, która stanowiła największy w carskiej Rosji księgozbiór prywatny... Akademii Lichaczow z ubolewaniem mówił o tym, że już zbyt wiele książek poszło z dymem. Spaliła się biblioteka Instytutu Historii Uniwersytetu Leningradzkiego. Spalił się dział rzadkich książek w Bibliotece im. Krupskiej. W bibliotece naukowej uniwersytetu w Rostowie ogień strawił setki tysięcy woluminów, a słynny „Księgozbiór Plechanowa” został poważnie uszkodzony przez wodę... Ogień — mówią eksperci — może w ciągu niespełna 20 minut strawić 500 tys. woluminów...”

O „BIAŁYCH PŁAMACH”

„Niepokój i nadzieja — to uczucia, które nami dziś targają.



Rys. Sławomir Łuczyński

Człowiekowi bywa młodo, gdy sprawdzają się jego przewidywania odnośnie przebiegu i zakończenia jakiegokolwiek przedsięwzięcia, potyczki, zdarzenia — także artystycznego. Takie refleksje nasunęły mi się po obejrzeniu spektakli konkursowych w ramach 28. edycji Kaliskich Spotkań Teatralnych i poznaniu werdyktu jury.

Kaliski festiwal od lat kilku kieruje się po prostu formułą „festiwalu sztuki aktorskiej”. Właśnie ta pojemność stanowi przedmiot licznych dyskusji, kontrowersji. Bywa bowiem, że pomijany jest twórca spektaklu, a na konkursowej scenie

miejsce dla wyróżnienia zasługujących na to artystów.

Pech chce, że oba wydarzenia artystyczne tegoż roku KST prezentowane były na małych, kameralnych scenach, co uniemożliwiło szerokiej widowni zapoznanie się z nimi. Mowa tu o dwóch, żywo, w ostrym tempie rozegranym spektaklu „Scenariusza dla trzech aktorów” B. Schaeffera przez zespół Teatru STU z Krakowa, w reżyserii Michała Grabowskiego, z nim samym oraz Andrzejem Grabowskim i Janem Peszkim. Tekst B. Schaeffera to prosta wersja jego gra-

(dla niektórych „naciśkowiczów”) „dziennikarstwa” przyznał nagrodę dla Andrzeja Wajdy za stworzenie spektaklu „Zbrodni i kary”, którym dziś zachwycą się cały świat, organizatorzy nie przewidując takiej w ogólnie puli.

Do zaszczytów w plus należy prezentacja „Przedstawienia poezji” P. Mullera w reż. Jacka Pądzio. Teatr gospodarzy — im. W. Bogusławskiego otrzymał za ten spektakl nagrodę zespołową, i znowu jak najbardziej zasłużył, bo choć zespół to aktorsko nierówny, na szczególne podkreślenie zasługuje tu właśnie zespołowy wysiłek w realizacji reżyserskiej koncepcji. Sam spektakl, choć to nieliczne „kawałki teatru”, jest także dość nierówny, drażni jednostajną warstwą muzyczną i trochę położony finał, ale w sumie zaszczytne festiwalowej publiczności, na co dzień oceniającej „swój” teatr, no, bardzo różnie — było pełne.

Autorami kolejnej niespodzianki okazali się katorżnicy Jerzy Zegalski i Teatr Śląski im. S. Wyspiańskiego wyreżyserowali „Kołomyję” S. Becketa — rzecz ponurą i mroczną, ale ze wspomaganą i inspirującą artystów scenografią Jerzego Moskale (nagrada), przez co jeszcze mocniejszy akord stanowił końcowy optymizm. Nagrodą dla Czesława Stępiaka za rolę Hamma, nagrodą dla Michała Rosińskiego za długopisaną rolę Nagga — to sprawa niepodważalna, jednak zastrzeżenia można by zgłaszać pod adresem Wiesława Kaniucha (nagrada za rolę Clove’a), za pewne zagubienie indywidualnego buntu, paradyksalnie połączonego z rezygnacją, poprzez moim zdaniem zbyt jednostajne kreowanie roli.

Trudno nie wspomnieć o „Kasparze” P. Handkego, gościnie wyreżyserowanym w Krakowie przez Andrzeja Wirtha. (Nagrada za rolę tytułową dla Krzysztofa Globisza). Wymyka się ów spektakl jednoznacznej ocenie, bo też jest odległy od tego, co się najczęściej prezentuje na krajowych — nie tylko festiwalowych — scenach.

Do „dwójki niżej” zaliczają się spektakle „Mandatu” N. Erdmanna w Teatrze im. W. Horzycy w Toruniu (reż. E. Korin) i „Zdjęcia obywateli posmiertnych” B. Leśmiana w Teatrze im. J. Kochanowskiego w Opolu (reż. Maciej Korwin). Choć i tu dostrzeżono i wyróżniono jedynie

nawet dokonania aktorskie, to było to jednak właściwie wszystko, co dobre można o obu „ciachach” powiedzieć, i dokładnie wszystko, na co było stać oba zespoły.

Pora przejść do „niewypałów” kaliskiej imprezy, wobec których rolę nieudolnych saperów pełnią zespoły Teatru Nowego z Łodzi („Próba” T. Słojaka w adapt. i reż. Jerzego Hutka) oraz warszawskiego Teatru Narodowego — Mała Scena („Pigmaliion” G. B. Shawa w reż. K. Chameca). Łódzki spektakl jest po prostu o parę lat późniejszy „treściowo”, ogłąda się go często jako zbitkę skeczy z licznymi wulgaryzmami słownymi, a ponadto nie przysłużył mi się grający gościnnie Wojewódę Stanisław Jaskulka. W macierzystym Teatrze im. S. Jaracza w Łodzi dobry odtwórca ról juhasów i jurnych górali rozkleił się całkiem, gdy przyszło mu uprawiać intelektualną prowokację aktorską. Być może były tego jakiegoś pozateatralnego przyczyny... „Pigmaliion” natomiast to typowa objazdowa chałtura, grana przez „znanych i uznanych” artystów warszawskich w sposób grepski, gdzie brak tylko mrukania do widza.

Po tym rzucie oka na arenę festiwalowych zmagań pora na ocenę globalną — jaka była impreza? Gdy się weźmie pod uwagę metryczkę statystyczną: 23 spektakle uczestniczących w festiwalowym konkursie teatrów, osiem spektakli towarzyszących, siedem monodramów i teatralnych propozycji, trzy wystawy, sesję nt. sztuki aktorskiej tym razem pomyślaną jako „rzecz o metodzie” — to liczbowo rzecz okazuje się co najmniej udana. Gdy uwzględnimy powyższe rozważania — dwa znakomite spektakle, dwa pozytywne zaszczytne, inteligentna próba „nowego” („Kaspar”), to okazało się, iż wartość artystyczną co najmniej dorównuje liczbowej. Najważniejsze wszakże, że nadal jest to impreza żywa poprzez swą formułę, prowokującą nawet do doszukiwania się paralel pomiędzy rzeczami nieprzystawalnymi. A że w tej masie gubią się artystyczne porażki, aktorskie niewypały itp. — tym lepiej, bo nie one przesadzają o obliczu corocznego świata teatralnego nad Prosną.

MAREK TRUSZKOWSKI

Artyści i saperzy

nie prezentują się bynajmniej najlepsze przedstawienia sezonu. I okazuje się, że wcale nie dwie sprawy nie muszą chodzić w parze, a wyjątki twierdzący regułę. Kontrowersje wzbudza także sam repertuar imprezy, często skompletowany na zasadzie „od Sasa do lasa”. Dyrektor kaliskiego teatru i zarazem KST, Maciej Grzybowski uważa zresztą, że tak pojęta idea festiwalu pozwala na wyodrębnienie cech wspólnych dla dokonanych różnorodnych, natomiast w przypadku różnic — jeszcze wyraźniejszego ich zaznaczenia. Ponadto KST mają także cel: scalania i interpretowania różnorodnych zjawisk teatralnych — i te założenia, przy uwzględnieniu nadrzędności „sztuki aktorskiej”, pozwalają na stały, żywotny rozwój imprezy.

Nie inaczej było i tym razem, podczas dwóch pierwszych majowych tygodni teatralnych nad Prosną. Obejrzenie dwuletniego spektaklu konkursowego z ośmiu miast pozwoliło na wyodrębnienie zjawisk „systemem dwójkowym”.

Otóż były dwa przedstawienia znakomite, dwa naskoczenia i plus, dwa dokonania może nie zupełnie, ale zasługujące na minusową ocenę, i dwa po prostu nijakie, choć i w nich znalazło się

nich m.in. przez warszawski Teatr Nowy „Grzechów starości”, znacznie bardziej zwarta, stwarzająca aktorom możliwości tak do „wygrania się”, jak i aktorskiej improwizacji, a zarazem najbardziej „fabularny” z wszystkich „schaefferiada”. Cała trójka aktorów wykorzystwała te możliwości do maksimum, grając wszystkie spektakle na wysokich obrotach i — ani razu tak samo! I cała trójka otrzymała aktorskie nagrody główne festiwalu, a dodatkowo Jan Peszek nagrodę zespołu teatru gospodarzy („wędrowniczka sakwę teatralną”) — za to, „co zrobił i zrobi dla aktorstwa polskiego”.

W innym klimacie i innej poetyce wyreżyserowała I. Cywińska „Narzęconego Beaty” Adolfa Rudnickiego w poznańskim Teatrze Nowym. Także z trójką wspaniałych aktorów: Krystyną Feldman, Sławą Kwaśniewską i Wojciechem Stankiewiczem. Obie damy sceny otrzymały nagrody, K. Feldman za rolę Lali, S. Kwaśniewska „za kulturowanie tradycji sztuki aktorskiej”, i tylko żal, iż nie doceniono W. Stankiewicza. Godzi się dodać na marginesie, iż K. Feldman była jedyną kandydatką licznego grona żurnalistów i krytyków do ich nagrody, jednakże od 1985 r. kiedy to niesfor-

Od rzeźby po projekty ubiorów

Gdy organizują tu giełdy swoich wyrobów — pedzla, dłuta czy piórka, publika wali drzwiami i oknami do klubu osiedlowego na Chojnach, kierowanego przez Elżbietę Wróblewską. Rzadka to okazja, aby przy obcych cenach na rynku sztuki, wybrać płótno olejne za jedynie 5-10 tysięcy złotych! Największym wzięciem cieszą się prace olejne i akwarele Krystyny Markowicz, przedstawiające sceny z ogrodu zoologicznego, z parków. Ich autorka jest reńską: aktywna jako wykładowczyni uniwersytetu III wieku. Malowała Kaczmarska farbami olejnymi przynosi na płótno pejzaż. Maluje plama, uzyskuje efekty światła. Z zawodu plastyczka w hotelu robotniczym. Marcei Krajewski na akwarelach przedstawia starą architekturę Łodzi. Z zawodu kierowca. Krzysztof Koszowski para się rzeźbiarstwem. Jest nastawiaczem maszyn w fabryce „Obróbców Pokoju”.

W sekcji plastycznej RSTK, korzystającej z lokali i środków, udostępnianych przez chłopski klub osiedlowy, oprócz malarzy i grafików robotniczej proveniencji, jest również reprezentowana taka specjalność jak gobelin i wzornictwo użytkowe, a konkretnie projektowanie ubiorów dziecięcych. Nie ma więc tu tylko „sztuki dla sztuki”.

Jako agenda łódzkiego RSTK od 1986 r. korzystał z pomieszczenia malarzowskiego w siedzibie tegoż stowarzyszenia przy ul. Kiliszkiewicza 95, ale było ono za małe na potrzeby czterdziestoosobowej ówczesnej grupy artystów. Skazując się na tutejszy do dziś dom, korzystają z gościnnych klubów, a już lada moment otrzymają lokal na 11 piętrze wieżowca, gdzie w tej chwili się schronili. Będą go użytkować na zmianę z pracownią fotograficzną.

Trzeba się z tego cieszyć, bo ten klub pod zarządem Elżbiety Wróblewskiej jest już bardziej do domu kultury niż jego miniatura jak wyznacznikowy status. Mało tego, że robotniczy twórca ma swoją galerię (szkoda, że nie stała) i giełdy, to jeszcze dużo do powiedzenia ma tu chór dziecięcy, lektor języka angielskiego ze swymi słuchaczami, sekcja komputerowa, polsko-węgierska i długie by wymienić... Artysty pokładają nadzieję w nawiązaniu blizszych kontaktów z galerią „Księż Młoty”, co pozwoliłoby promować własną twórczość na Widzewie.

W. KUPISZ

W zawsze przychylnym żywej muzyce Muzeum Historii Miasta odbył się 8 czerwca, zorganizowany przez współtwórcę Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, recital harfowy Moniki Jareckiej. Łódzianki od kilkunastu lat osiedlały w USA. Właściwie wieczór ten określić można jako ewenement. Z tego mianowicie względu, że w życiu muzycznym na-

„Żeński genre muzycznej ekspresji”

szego ośrodka harfa w roli instrumentu solistycznego, a więc nie orkiestrowego, nie pojawiała się od wielu lat wcale. Wyjechała to poniekąd z (kto wie, czy nie pochopnego) zlikwidowania już dawno odnośnej klasy wirtuozowskiej w lokalnej uczelni muzycznej.

Szkoda! Harfa mająca wielowiekową tradycję w różnych, nie tylko europejskich kulturach muzycznych, jest bowiem instrumentem ze wszech miar godnym uwagi. Także wtedy, gdy koncertuje solo. Delikatne, miękkie i zmysłowe brzmienie łączy ona z ogromnymi możliwościami technicznymi, znacznie większymi niż np. w wypadku tak popularnej obecnie gitary klasycznej. W „Historii instrumentów muzycznych” Curt Sachs stwierdza, iż harfa wyrażała zawsze „romantyczny klimat emocjonalny, żeński, genre muzycznej ekspresji” i dlatego stała się instrumentem typowo damskim. Wprawdzie dziś już podzieliła na instrumenty „ko-

biecie” i „męskie” straciła wiele na aktualności (tak samo, jak analogiczny podział na zawody), wciąż jednak dużo łatwiej zobaczyć i usłyszeć powabną damę-fagocistkę lub kontrabasistkę, niżeli pana harfistę.

Monika Jarecka, już będąc pilną uczennicą sekcji fortepianu łódzkiego Liceum Muzycznego, pragnęła opanować grę na har-

fice. Dlatego z rodzinnego miasta wyjechała na studia do Warszawy, a następnie na stypendium do USA, gdzie też szybko zrobiła doktorat. Po zakończeniu studiów weszła na kilka lat w skład kwartetu „New York Ensemble”, z którym przemierzyła dosłownie całe Stany Zjednoczone i Europę oraz nagrała 10 płyt. Później przebywała w Rio de Janeiro, pracując w tamtejszej orkiestrze i koncertując jako solistka. Obecnie poświęca się wyłącznie działalności solistycznej i kameralistycznej.

Pobyt w Polsce wykorzystala artystka m.in. na dokonanie w Warszawie nagrania płytowego, na drugą zresztą dopiero w historii Polskich Nagrań płytę harfową. Cóż — poczekamy, kupimy! Tymczasem utworów z tej własnej, planowanej dopiero płyty, mieli okazję posłuchać łódzianie na wspomnianym recitalu. Byłi na nim obecni i dawni koledzy Małgosi (bo takiego imienia znana w świecie harfistka kiedyś używała). Program obejmował

obsługiwani pedala stopami) subtelnej interpretacji harfisty ujął wreszcie nieprzewidywane odcienie dynamiczne i kolorystyczne. Instrumentalistka sprawiła przy tym wrażenie, jakby problemy techniczne dla niej w ogóle nie istniały. Chyba z zaskoczenia słuchali obecni na koncercie gitarzyści transkrybowanych przez solistkę 3 Preludów gitarowych H. Villa-Lobosa. Nie zabrakło bisów, i mimo że występ nie trwał aż do nocy, zakończyła go rytmiczna Pieśń nocy C. Salzedo, w której autor przewidział m.in. dowcipne efekty perkusyjne.

Szybko upłynął czas spędzony z tą utalentowaną artystką, z prawdziwą satysfakcją słuchało się kreowanych przez nią muzyki. Zyczymy M. Jareckiej dalszego, pełnego rozwoju artystycznej kariery i zapraszamy znowu do Nowego Jorku do rodzinnej Łodzi!

JANUSZ JANYST

Kronika

MINISTER KULTURY I SZTUKI, PROF. ALEKSANDER KRAWCZUK, spotkał się w podwawelskim grodzie (w Domu Polonii) z krakowskimi pisarzami, reprezentującymi różne orientacje polityczne i światopoglądowe.

Dyskutowano m.in. kwestię szybkiego przywrócenia działalności Pen-Clubu. Padła propozycja utworzenia — jako forum wymiany poglądów — klubu różnych orientacji — klubów literackich. (Jan Józef Szczepański w imieniu grupy 40 pisarzy). Profesor Jan Błonski zgłosił postulat udostępnienia przez władzę na gromadzenie i udostępnianie w bibliotekach naukowych publikacji wychodzących za granicę i w zw. drugim obiegu.

NAGRODĘ STOWARZYSZENIA TŁUMACZY POLSKICH (w wysokości 150 tys. złotych) otrzymał Adam Szymanowski za przekład głosnej powieści Umberto Eco „Imię róży”.

Laureat jest z wykształcenia... matematykiem i był przez długi czas wykładowcą tego przedmiotu w Instytucie Matematyki w UW. Języka włoskiego nauczył się podczas kuracji w sanatorium. We Włoszech był tylko jeden raz (przebywał tam dwa tygodnie).

HENRYK CZYZ, obchodzący w tym roku 65-lecie urodzin i 10-lecie pracy artystycznej, wyznal w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Tygodniowemu”, iż — „życie jest zbyt piękne, aby na nie spoglądać z pulpitu dyrygenta. Tak więc próbuje — zwierzył się — uszczknąć z zaciśniętego drzewa sztuki liście z różnej jej strony i z życia co się da”.

Wybitny dyrygent i kompozytor ujął mi, że złożył w wydawnictwie kolejną książkę pt. „Skrępałase”, która niebawem powinna się ukazać. Do napisania jej skłoniła artystę chęć odwołania się, wypowiedzenia na wiele drażniących go problemów.

ROMAN BRATNY w interesującym wywiadzie dla „Trybuny Ludu” (nr 136 z 12-13 bm.) wypowiedział się o swej ostatniej, wielce bulwersującej książce „Nagi maj”.

„Ja chciałem przetrwać owa wizja rzekomo bez wyjścia. Ta książka to głos wołającego wśród planej duszycz, ale nie na puszczy... Kosłem równo jak ten włoski piłkarz Gentile. Zrobiłem to w imię odbudowania prawdziwych wartości, prawdziwego, a nie tego obrzędowego patriotyzmu. Ja, autor „Kolombów” twierdząc, że nie sposób wrócić do mądrych tradycji, nie zaprzeczając po drodze tego nacjonalistyczno-bogocierzyńskiego durnego chwastu”.

W KONCU CZERWCA PRZYBYDZIE DO POLSKI, na zaproszenie Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Kwan” w Warszawie, jeden z najwybitniejszych reżyserów kina światowego — Bernardo Bertolucci.

Z tej okazji polska publiczność będzie mogła zobaczyć najnowsze dzieło tego twórcy „Ostatniego cesarza”. Stało się ono, kilka miesięcy temu, wydarzeniem artystycznym rangi światowej.

LOTEM BALONU, w kształcie zwinłego numeru gazety, ucieczono w Londynie 100-lecie wpływowego organu międzynarodowych kół finansjery — „Financial Times”.

Trzydziestometrowej wysokości balon został zaprojektowany przez Pera Lindstranda.

W WARSZAWIE, 16 bm., w siedzibie CK SD, podczas uroczystego spotkania z okazji 15-lecia „Tygodnika Demokratycznego” wręczone zostały doroczne honorowe nagrody tego pisma pod nazwą „Człowiek — Obywatel”. Otrzymał je: prof. dr hab. Julian Aleksandrowicz z Krakowa — wybitny uczyony, lekarz-humanista; Elżbieta Borowiak z Poznania — założycielka i przewodnicząca Poznańskiego Stowarzyszenia Chorych na Cukrzycę; Czesław Kuczyński z Kalisza — sponsor wielu akcji na rzecz domów dziecka i opieki społecznej; Klub Honorowych Dawców Krwi im. Centrum Zdrowia Dziecka przy Zespole Szkół Samochodowych nr 3 w Warszawie.

MUZEUM AZJI I PACYFIKU W WARSZAWIE — unikatowa placówka tego typu w świecie — obchodził w tym roku 15-lecie.

Obchodzenie warszawiaków z tak nieoczekiwaną egzystacją rozpoczęło się w 1973 r. za sprawą Andrzeja Wawerzyskiego (do dzisiaj z wielkim zaangażowaniem kierującego działalnością muzeum).

Obecne zasoby muzealne wynoszą 11 tysięcy eksponatów, z czego większość stanowią cenne dary.

Można się z nimi zapoznać na jubileuszowej, 275 z kolei, wystawie. Zachęcamy!

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

ciu. Pakt Ribbentrop-Mołotow, deportacje i Katyń, a także wydarzenia na przedpolu Warszawy w sierpniu 1944 roku. Mam mapę z 1940 roku, z której korzystałem jako uczeń. Na miejscu Polski widnieją napisy: „Obszar będący strefą interesów Niemiec”. I dano mi tę mapę do ręki, jako małego uczeni. I mówiliem później, że Polska nie istnieje. I wytydzi mi z tego powodu... Gdybyśmy chcieli czekać na historyków, to musielibyśmy czekać być może co najmniej pół wieku...” (Z rozmowy A. Zakrzewskiego z Natanem Ejdelmanem, historykiem i pisarzem radzieckim dla „Tygodnika Kulturalnego” nr 23).

4 TYS. TYTUŁÓW

Łódzka Wytwórnia Filmów Oświatowych liczy sobie 40 lat. Posiada na swym koncie ponad 4 tys. tytułów filmowych, wśród nich wiele nagradzanych i wyróżnianych na krajowych i zagranicznych festiwalach. Wystarczy powiedzieć, że wielokrotnie nagradzany w kraju i za granicą „Szczurołap” Andrzej Czarnecki zdobył ostatnio nagrodę FIPRESCI na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Clermont-Ferrand. Z innego, VI Międzynarodowego Festiwalu Filmów o Sztuce w Montrealu, najbardziej prestiżo-

wa nagrodę przywiózł Grzegorz Tomczak za film „Ocalić ocalałe”, zaś z najnowszych cennymi trofeami wrócili dwa inne filmy — „Urząd” w reżyserii Marli Umarz-Koczanowicz; główna nagroda w kategorii krótkiego metrażu z MFF „Cinema de reel” w Paryżu i główna nagroda dla najlepszego filmu dokumentalnego na MFFK w Tampere — „Koski oknu” Jacka Bławuta.

W łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych powstaje rocznie ok. 116 tytułów filmowych.

HONORY DLA

A. WAJDY

W czasie „Dni polskich” w historycznej sali „Stabat mater” najstarszego w Europie Uniwersytetu w Bolonii, wręczono — nadany po raz pierwszy w historii tej uczelni — tytuł doktora honoris causa reżyserowi filmowemu i teatralnemu Andrzejowi Wajdzie, jako wyraz uznania za wysokie walory moralne i artystyczne jego twórczości.

Podczas Światowego Festiwalu Audiowizualnego w Cannes, specjalny przegląd pozakonkursowy pt. Pamięć w wydarzeniach audiowizualnych poświęcony został w całości projekcji polskiego serialu telewizyjnego „Z biegiem lat, z biegiem dni” w reżyserii Andrzeja Wajdy i w wy-

Fraszki

LECH NIEKRASZ

SPOWIEDZ

W uczelność jam wierzący, lech niepraktykujący...

INTENCJA

Gdyby tak wszystkie pacierze odmawiano w dobrej wierze...

LECH KONOPIŃSKI

ALFABET AMORA

Kocham twe oczy, usta, podbródek, lecz wolę działać z niższych pobudek.

Najbardziej właśnie w niej cenię, że grzeszy z czystym sumieniem.

Chwila szczęścia jest najczęściej całego życia nieszczęściem.

Ona mniema, że już nie ma, potem stwierdza ominięta, że mnie nie ma i nie miała.

Amory. Boje. Cmentarz — życia elementarna.

WYROK

Moimi sąsiadami okazali się dowódca brygady B. i dyrektor jednego z głównych wydziałów Ludowego Komisariatu Handlu K. Obydwaj już napisali o sobie i o innych bzdury, które im podsunął śledczy. Przepowiadali i mnie ten sam los, zapewniając, że nie ma innego wyjścia. Słuchając ich opowiadań czułem, że mi po plecach biegają mrówki. Nie mogłem uwierzyć, że u nas może się dzieć coś podobnego.

Moi nowi koledzy uważali, że lepiej podpisać od razu, bo i tak jeżeli się nie podpisze dziś, to się podpisze za tydzień albo za pół roku.

— Wolę umrzeć — powiedziałem — niż o-czerniać samego siebie, a tym bardziej innych. — Myśmę też tak mówili, kiedy nas tu przywieziono — odpowiedzieli.

Minęły trzy dni. Zaczęły się przesłuchania. Początkowo niczym nie różniły się od przesłuchań na Łubiance. Tylko śledczy był tu ordynarniejszy i częściej słyszało się najgorsze przekleństwa oraz epitetów w rodzaju: „Zdrajca” i „Sprzedawczyk”.

— Napisz. U nas nie było i nie będzie takich, którzy nie piszą!

Czwartego dnia wezwał mnie któryś z naczelników. Najpierw zapytał spokojnie, czy wiem, na co się narażam, i czy dobrze wszystko przemyślałem i odceniłem? Potem, kiedy mu odpowiedziałem, że przemyślałem już wszystko, powiedział do śledczego: „Tak, zgadzam się z wami!” — i wyszedł z pokoju.

Tym razem długo nie wracałem z przesłuchania.

Kiedy z trudem dowlokłem się do swojej celi, moi towarzysze oświadczyli jednomyślnie: — Aha! To jest tylko początek.

A towarzysze B. powiedzieli mi eicho, kiwając głową:

— No i czy to potrzebne?

„Gorących” przesłuchań było pięć z przerwami po dwa lub trzy dni; czasami wracałem do celi na noszach. Następnie dano mi odsapnąć ze dwadzieścia dni.

Najbardziej niepokoiła mnie myśl o żonie. Lecz nagle otrzymałem przesyłkę — pięćdziesiąt rubli, co pozwoliło mi wierzyć, że żona znajduje się na wolności.

Moi towarzysze, mimo ponurych przewidywań, uważali przerwę w przesłuchaniach za dobrą oznakę.

Lecz wkrótce mój zaczęto mnie wzywać do śledczego i znowu odbyło się pięć przesłuchań. Podczas jednego z nich dowiedziałem się przypadkowo, że mój oprawca — śledczy nazywa się Stołbunski. Nie wiem, gdzie się on teraz znajduje. Chciałbym jednak, aby jeżeli żyje, przeczytał to, co piszę, i odczuł moją dla niego pogardę. Myślę zresztą, że i wówczas dobrze o niej wiedział...

Jeszcze teraz brzmiał mi w uszach złowieszczy ayczący głos Stołbunskiego, kiedy mnie wynoszono pokrwawionego i bez sił: „Pójdiesz, podpiszesz!”

Wytrzymałem tę mękę także podczas drugiej serii przesłuchań. Przez dwadzieścia dni znowu zostawiono mnie w spokoju. Byłem zadowolony ze swego zachowania. Towarzysze moi zardłoscili mi stanowczości, wymyślali sami sobie i potępiali się, tak że musiałem teraz podtrzymać ich moralnie. Ale kiedy zaczęła się trzecia seria przesłuchań, jakżeż pragnąłem już umrzeć.

Kiedy towarzysze moi stracili nadzieję na to, że osiągnę zwycięstwo, załamali się całkowicie. Pewnego razu towarzysze B. zapytał mnie:

— Czy i to cię nie przekonało, że znajdujesz się w sytuacji bez wyjścia?

— Nie, nie przekonało — odpowiedziałem. — Będę umierał, a ciągle będę powtarzał: nie i nie!

W końcu zostawiono mnie w spokoju i przez trzy miesiące nie wzywano na przesłuchania. Znowu zacząłem wierzyć, że wkrótce mnie zwolnią, i tę moją pewność podzieliłi ze mną towarzysze w celi. Zdarzało się, że waliłem w drzwi i domagałem się rozmowy z naczelnikiem więzienia lub prokuratorem. Zuchwałość ta, oczywiście, nie zawsze uchodziła mi bezkarnie.

Wiele przemyślałem w ciągu tych trzech miesięcy. Po raz pierwszy nie żałowałem, że moi rodzice już nie żyją (ojciec umarł w 1935, matka w 1938 roku). Ci prości, pracowici i uczciwi ludzie tak bardzo byli dumni ze swojego Sańki. Cóż za ból zwałiby się na nich, gdyby dożyli do mojego aresztowania! Wiele też myślałem o żonie. Jej sytuacja była gorsza od mojej. Znajdował się przecież wśród takich, jak ja, wyklekłych, ona zaś — wśród ludzi wolnych. Kto wie, czy nie znajduje się wśród nich tacy, którzy odwrócą się od niej jako od żony „wroga ludu”?... Myśl ta nie dawała mi spokoju.

Pamiętam — było to na przedostatnim przesłuchaniu — śledczy zapytał mnie, jak żyłem z żoną. Odpowiedziałem, że dobrze.

— Ach tak. Więc aresztujemy ją i zmusimy, żeby napisała o sobie i o tobie — oświadczył śledczy.

Jakżeż kłamałem sobie za tę szczerość! Uspokajało mnie jedynie to, że otrzymywałem co miesiąc pięćdziesiąt rubli — najlepszy dowód, że żona znajduje się na wolności.

Później dowiedziałem się, że dostała moją ostatnią depeszę wysłaną w dniu aresztowania. Ale czas mijał i nie było ode mnie wiadomości. Niepokój żony wrosnął z każdym dniem. W końcu poszła do dowódcy korpusu.

— Pewnie dokądś go posłano — powiedział Jeremienko.

8 listopada żona postanowiła pojechać do Moskwy. Przed odjazdem znowu poszła do dowódcy korpusu.

Gdyby Gorbatawa aresztowano, wiedziałabym o tym — oświadczył Jeremienko. Wezwał jednak szefa oddziału specjalnego i w obecności mojej żony wyraził obawę, czy nie zostałem aresztowany.

Gdyby tak się stało, wiedzielibyśmy o tym i dawno już zrobili rewizję w mieszkaniu — odpowiedział spojrzawszy na moją żonę szef oddziału specjalnego.

9 listopada żona przyjechała do Moskwy. Znajomi powiedzieli jej, że nie widzieli mnie od 20 października i byli przekonani, że wróciłem do domu, do Osipowicz. W hotelu Centralnego Domu Armii Czerwonej poinformowano ją tylko, że opuściłem hotel 22 października. Lecz kiedy żona wychodziła, dopędziła ją na korytarzu sprzątaczką i nie zatrzymując

Represje stałnowskie w 2 połowie lat trzydziestych bardzo osłabiły armię radziecką. Obliczenia generała-lejtnanta A. Todorskiego są wstrząsające. Spośród pięciu marszałków zginęło trzech (M. Tuchaczewski, A. Jegorow, W. Blucher), spośród pięciu dowódców pierwszej rangi — trzech, dziesięciu dowódców armii drugiej rangi — wszyscy, pięćdziesięciu siedmiu dowódców korpusu — pięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu sześciu dowódców dywizji — stu pięćdziesięciu czterech, czterystu pięćdziesięciu sześciu pułkowników — czterystu jeden, spośród szesnastu komisarzy wojskowych pierwszej i drugiej rangi na szczeblu armii — wszyscy, dwudziestu ośmiu komisarzy korpusu — dwudziestu pięciu, sześćdziesięciu czterech komisarzy dywizji — pięćdziesięciu ośmiu. („Ogoniok”, 26/1987, s. 6) Generał armii Aleksander Wasilewicz Gorbатов (ur. 9 marca 1891 r.) przed wojną dowodził dywizją. W październiku

1933 r. został aresztowany, a w maju 1939 r. niewinnie skazany na 15 lat więzienia plus 5 lat pozbawienia praw obywatelskich. Od lipca 1939 r. do sierpnia 1940 r. przebywał w obozach pracy koło Magadanu w Kolymskim Kraju. Podczas wojny dowodził 3 armią w bitwie pod Kurskiem, walkach na terenie Białorusi, Polski i Prus Wschodnich. W kwietniu 1945 r. otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Po wojnie był komendantem Berlina, dowódcą wojsk powietrzno-desantowych, dowódcą Nadbałtyckiego Okręgu Wojskowego (1954—58), a następnie wojskowym inspektorem i doradcą. Jego wspomnienia pt. „Lata pokoju i wojny” opublikowało w niewielkim nakładzie (10 tys. egzemplarzy) wydawnictwo MON. Rozpoczynamy druk piątego rozdziału pt. „Tak było”. Mamy nadzieję, że autentyczna relacja gen. A. W. Gorbatawa zainteresuje naszych Czytelników.



Aleksander Gorbатов

(2)

się szepnęła eicho:

— Aresztowano go nocą na dwudziestego drugiego. — Znalazł się na skwerze naprzeciw hotelu, żona siedziała na ławce i długo tam siedziała płacząc i rozmyślając, co dalej robić. Postanowiła pójść na Łubiankę. Stamtąd skierowano ją do informacji. Doczekawszy się swojej kolejki, zapytała:

— Gdzie jest mój mąż?

— Skąd to przypuszczenie, że wasz mąż został aresztowany? — zapytano ją w odpowiedzi.

— Ponieważ dawno nie mam od niego żadnych wiadomości — odpowiedziała.

— U nas waszego męża nie ma.

Dano jej jednak adresy wszystkich więzień, prócz więzienia w Lefortowie, i oświadczone: — Proszę sobie szukać. My nie o nim nie wiemy.

W więzieniach i na punktach etapowych dawano jej tę samą odpowiedź.

Wreszcie obszedłszy wszystkie więzienia, znowu przyszła do informacji w NKWD i stanęła w kolejce. Tu spotkała przypadkiem kobietę, którą kiedyś poznała w Soczi. Kiedy opowiedziała jej o swoim nieszczęściu, kobieta ta poradziła, aby żona pojechała do więzienia lefortowskiego, i nauczyła ją, jak tam należy postępować.

Znalazłszy się na podwórzu więziennym, żona podeszła do okienka i zwróciła się do dyżurnego z prośbą o przyjęcie pieniędzy dla jej męża Gorbatawa. Okienko zatrasnęło się. Po jakimś czasie dyżurny zażądał od żony okazania dowodu osobistego i przyjął owych pięćdziesiąt rubli. W ten sposób dowiedziała się, że jest w Lefortowie.

Potem wstąpiła do naszych dobrych znajomych moskiewskich, opowiedziała o wszystkim i pojechała do Osipowicz.

Podczas podróży postanowiła, że wyjedzie z Osipowicz do Saratowa, do swojej matki, gdyż razem będzie im łatwiej znosić nieszczęście. Rzecz w tym, że 30 kwietnia 1938 roku aresztowano ojca mojej żony, a nieco wcześniej, w 1937 roku, jej brata, inżyniera. Żona myślała też, że łatwiej będzie o pracę w Saratowie niż w Osipowiczach.

Po przyjeździe do Osipowicz powiedziała o swoich planach dowódcy korpusu. Uznał jej decyzję za słuszną i dopomógł w wyjeździe — był to w owym czasie rzadki przypadek. Jeszcze dzisiaj z wdzięcznością wspominamy szlachetny postępek towarzysza Jeremienki i jego odwagę cywilną, bodaj czy nie trudniejszą od męstwa na polu walki.

W przeddzień wyjazdu żony, około drugiej w nocy, do drzwi mieszkania ktoś mocno zastukał. Pomocnica domowa powiedziała z płaczem:

— To po was, Nino Aleksandrowna — i nie chciała otworzyć drzwi.

Żona opanowała się z wysiłkiem, szybko zbiegła po schodach i zapytała: „Kto tam?”. W odpowiedzi dwa niezupełnie trzeźwe głosy zawołały jednocześnie: „Gdzie tu hotel?”. Żona usiadła na schodach i rozplakała się gorzko. Tymczasem pomocnica, kłanąc nocnych łazogów, pokazywała im drogę do hotelu.

Po przyjeździe do Saratowa żona odnalazła matkę na przedmieściu, gdzie wraz z córką odnajmowała małą izdebkę, gdyż po aresztowaniu męża wyrzucono ją z mieszkania. O aresztowanym bracie nic nie było wiadomo, ojca zaś „sąd specjalny” skazał na pięć lat obozu.

Sprzedając rzeczy wysyłane bagażem z Osipowicz, żona zdobywała skąpe środki utrzymania, mogła też pomóc mężowi i ojcu. Co miesiąc otrzymywała jakąś pracę, ale po kilku dniach, gdy się dowiadywano, że mąż, ojciec i brat są „wrogami ludu”, zwalniano ją bez podania powodów.

O tym wszystkim opowiedziała mi później, kiedy wyszedłem na wolność.

Po trzymiesięcznej przerwie w przesłuchaniach 8 maja 1939 roku wszedł do naszej celi człowiek ze spisem w ręku i rozkazał, żebym się przygotował z rzeczami do wyjścia.

Moja radość nie miała granic. Towarzysze B., również przekonani, że wypuszczają mnie na wolność, dopytywali się wciąż, czy pamiętam adres jego żony; prosił, abym zawiadomił ją, że on, niegodziwiec, załamał się i podpisał kłamliwe oskarżenia; prosił, by mu przebaczyła i wiedziała, że ją kocha. Obiecałem, że odwiedzę jego żonę i przekażę wszystko, o co prosi.

Uszczęśliwiony szedłem przez więzienne korytarze. Zatrzymano mnie przed boksem. Tutaj kazano mi zostawić rzeczy i poprowadzono dalej. Stanęliśmy przed jakimś drzwiami. Jeden z konwojentów wszedł do środka. Po chwili wprowadzono mnie do niewielkiej sali: znalazłem się przed kolegium sądu wojskowego.

Za stołem usiadłem trzech sędziów. Pośrodku siedział przewodniczący. Zauważyłem na rękawie jego czarnego mundurka szeroką, złotą naszywkę. „Kapitan pierwszej rangi” — pomyślałem. Wesoly nastrój nie opuszczał mnie, bo przecież tego tylko chciałem, żeby moją sprawę wreszcie rozpatrzył sąd.

Posiedzenie sądu trwało cztery, może pięć minut. Zapytano mnie o nazwisko, imię, imię ojca, rok i miejsce urodzenia. Potem przewodniczący zapytał:

— Dlaczego nie przyznaliście się w śledztwie do swoich przestępstw?

— Nie popełniłem żadnych przestępstw, więc nie miałem się do czego przyznawać — odpowiedziałem.

— Dlaczego więc oskarża cię dziesięciu ludzi, którzy się już przyznali i zostali osądzeni? — zapytał przewodniczący.

Znajdowałem się w tej chwili w tak dobrym nastroju i tak byłem pewien, że zostanie zwolniony, iż pozwoliłem sobie na żart, którego później gorzko żałowałem. Powiedziałem:

Czytałem książkę Wiktora Hugo „Pracownicy morza”. Jest tam historia o tym, jak w szesnastym wieku na Wyspach Brytyjskich uwięziono jedenastu ludzi podejrzanych o stosunki z diabłem. Dziesięciu przyznało się do winy, co prawda, przy pomocy tortur, jedenasty zaś nie przyznał się. Wtedy król Jakub II kazał biedaka żywcem ugotować w kotle, aby tym wywarem udowodnić, że i ten człowiek miał stosunki z diabłem. Widocznie — mówiłem dalej — tych dziesięciu towarzyszy, którzy się przyznali i wskazywali na mnie, doświadczyło tego samego, czego doświadczyło tamtych dziesięciu Anglików, a żaden nie miał ochoty na to, co się stało udziałem jedenastego Anglika.

Sędziowie z uśmiechem porozumieli się wzrokiem. Przewodniczący zapytał swych kolegów: „Czy wszystko jasne?”. Ci twierdząco skinęli głowami.

Wprowadzono mnie na korytarz. Upięknęły mi się dwie minuty. Wprowadzono mnie znowu do sali i ogłoszono wyrok: piętnaście lat więzienia i obozu plus pięć lat pozbawienia praw obywatelskich...

Było to tak nieoczekiwane, że zważyło mnie z nóg i runąłem na podłogę.

Tegoż dnia przewieziono mnie do więzienia butyrskiego, do celi, w której siedzieli tylko skazani oczekujący wysyłki. Przywitałem ich głośno i przedstawiłem się po wojskowemu: „Dowódca brygady Gorbатов”. Po lefortowskim więzieniu Butyrka wydała mi się jakimś sanatorium. Co prawda, w celi przeznaczonej na dwadzieścia pięć osób siedzieli przeszło siedemdziesiąt, ale mieliśmy tu codziennie pół godziny spaceru zamiast dziesięciu minut co drugi dzień, jak w Lefortowie.

Starosta wskazał mi miejsce przy drzwiach i parazy. Kiedy zająłem swoje pięćdziesiąt centymetrów na prycy, sąsiad zapytał:

— Ile dali? Podpisałeś, co kazano?

— Piętnaście plus pięć. Nic nie podpisałem.

— Represje stosowano?

— Jak najbardziej.

— Tak, tego dobrego nam nie skąpią.

W miarę jak jedni odchodzili, inni zaś przychodzili, stawałem się rdzennym mieszkańcem celi i przesuwalem się dalej od parazy i drzwi, bliżej okna.

Starosta celi to osoba obieralna. Wybierają go spośród tych, którzy przebywają tu długo. Odchodząc, polecał kogoś na swoje miejsce. Starosta miał duże obowiązki, pilnował, aby sprawliłwie rozdzielono chleb, cukier i inne pożywienie, pełnił funkcje rozjemcy w razie kłótni lub bójek (bójki zdarzały się tu rzadko). Ponościł też niejaka odpowiedzialność wobec administracji więziennej, a także w pewnej mierze bronił przed nią praw więźniów.

W naszej celi zebrali się ludzie wykształceni, różnych zawodów i specjalności. Ludzie ci dużo umieli i skupiając się w niewielkie grupki, prowadzili interesujące rozmowy na różne tematy. Nikt nie wiedział, do jakiego dostanie się zakątka naszej wielkiej ojczyzny. Przypuszczaliśmy, że do najdalejszych rejonów północnych lub na Daleki Wschód. Dlatego ze szczególną uwagą słuchaliśmy tych, którzy kiedyś pracowali w odległych rejonach Związku Radzieckiego, tych, którzy dobrze znali geografie.

Wśród moich współwięźniów było i tu wielu takich, którzy na przesłuchaniach opowiadali niestworzone historie i pokornie podpisywali protokoły badań spitzarskich przez śledczego. I czego tam nie było w tych opowiadaniach! Jeden na przykład przyznał się do tego, że pochodzi z książęcego rodu i od roku 1918 legitymuje się cudzym paszportem skradzionym zabitemu przez siebie chłopcu; że przez cały ten czas szkodził władzy radzieckiej, i tak dalej. Wielu dowiedziawszy się, iż nie złożyłem zeznań, z żalem myślało o własnym zachowaniu się i swoich zmyślonych historyjkach. Inni uspokajali się tym, że to i tak nie ma znaczenia — podpisał czy nie podpisał, „przecież Gorbатов też dostał piętnaście plus pięć”. A byli i tacy, którzy po prostu nie wierzyli mi...

Nareszcie większości z nas kazano przygotować się do wyjścia z rzeźni. Specjalnymi krytymi samochodami przywieziono nas ulicami Moskwy na peron jednego z dworców i wpakowano do wagonów towarowych. Panowało milczenie, każdy myślał o czymś swoim. Ja wciąż jeszcze, nie wiadomo czemu, wierzyłem, że prawda zwycięży i że zostanie zwolniony.

Kiedy mineliśmy Wołgę, wszystko było jasne — wiozła nas na Syberię. W Swierdłowsku skierowano nas do więzienia etapowego. Ulicami miasta szliśmy, zwiesiwszy głowy, otoczeni przez strażników z owczarkami, niczym niebezpieczni przestępcy. Wstyd nam było spojrzeć w twarz ludziom radzieckim, którzy spoglądali z chodników na naszą kolumnę — jedni ze wzgardą, inni ze zdziwieniem i współczuciem. Jakże pragnęliśmy głośno krzyknąć: nie jesteśmy przestępcami, nie, jesteśmy ofiarami przestępstwa! Ale nikt nie odważył się tego uczynić. Patrząc sobie pod nogi, szliśmy wolnym krokiem. Ludzie idący nam naprzeciw chcieli najpewniej komuś coś podać, gdyż niekiedy słychać było surowe okrzyki: „Nie podchodzić, nie podawać!” oraz warczenie czworonogich pomocników konwoju.

W więzieniu po raz pierwszy pozwolono nam kupić papier i napisać listy — „tylko atramentem i nic zbytecznego”. Napisałem do Saratowa na adres matki mojej żony, który zachował mi się w pamięci: byłem pewien, że jeśli żona moja nawet nie wróciła do rodziców, to i tak list jej przesła. Zawiadomiłem, gdzie jestem, i że najpewniej za kilka dni ruszymy dalej. Prosiłem, aby nie rozpaczala, aby dbała o siebie i nie przejędziała do Swierdłowska — i tak mnie tu nie zastanie.

Wielu z naszej grupy napisało do krewnych, aby przyjechali do Swierdłowska zobaczyć się z nimi. Do niektórych krewni przyjechali, ale na widzenie nie zezwolono, wzięto tylko wałówek. Tego właśnie nie chciałem ani ja, ani ci spośród moich kolegów, którzy prosili krewnych, aby nie przyjeżdżali: wiedzieliśmy, w jak ciężkiej sytuacji materialnej znajdują się sami.

C.D.N.

Tłumaczył:
STEFAN KLONOWSKI

dział poza granice kraju — jeszcze przed rokiem możliwości takie mieli wyłącznie pięćdziesięciolatekowie — i tylko jeden na czterech Koreańczyków kiedykolwiek latał samolotem.

W wielu przypadkach Poludniowi Koreańczycy nie byli w stanie wchłonąć i nadać za błyskawicznym postępowaniem gospodarczym, jaki dokonał się tu w ciągu ostatnich 20 lat. Metody biznesu są tu śmiesznie przestarzałe, kobiety stanowią rzadkość w sferach związanych z zarządzaniem, a — poza hotelami — obecnej kuchni można posmakować jedynie w kilku seuleskich restauracjach. W miarę jak zbliża się Olimpiada, wielu Poludniowych Koreańczyków z poczuciem dumy i godności otwiera się na świat zewnętrzny. Takówkarze uczą się angielskiego w czasie godzin pracy, słuchając z godną podziwu pilnością porannych lekcji języka, nadawanych przez radio, gdy wiozą ludzi do pracy. Ponad 5 tysięcy ochotników — od gospodyń domowych po przybyłych tu Koreańczyków stale mieszkających w USA a nawet studentów języka rosyjskiego — odpowiadało na apel władz, które obawiały się problemów z tłumaczeniami w czasie Olimpiady — podobnych do tych, jakie miały miejsce w czasie Igrzysk Azjatyckich w 1986 r.

Chinywcy brali już udział w Igrzyskach Azjatyckich — stąd też nie będą tu nowicuzkami, chyba że weźmie się pod uwagę żywe zainteresowanie w Korei Płd., związane z rysującymi się perspektywami zacieśnienia kontaktów gospodarczych i politycznych — czy też nawet wzruszająca historia nieudanej miłości między południowokoreańskim tenisistą a chińską wioślarką. Inaczej przedstawia się jednak sprawa z ZSRR i jego sojusznikami z Europy Wschodniej.

Będzie Olimpiada w Seulu

Sekretarka w jednym z biur, od dziecka ostrzegana przed groźbą komunizmu, powiada, iż zupełnie nie wiedziała, jak ma się zachować, gdy spotkała Węgra — mimo iż był to producent filmów telewizyjnych na światowym poziomie. Z politycznego punktu widzenia, władze winny jeszcze wyjaśnić swym obywatelom, dlaczego komunistom nadal nie należy ufać, lecz można z nimi rozmawiać i handlować.

Wielkość ekipy radzieckiej — która ma liczyć ponad 500 osób — najprawdopodobniej przeleci do Seulu esarterowym samolotem Aeroflotu lub na pokładzie statku, który zacumuje w Incheon — 40 km na zachód od Seulu — w pierwszych dniach września. I chociaż początkowo wydawało się, iż ekipa radziecka chętniej mieszkałaby na statku, przedstawiciel radzieckiego komitetu olimpijskiego powiedział niedawno w Moskwie dziennikarzowi „Reriew”, iż Rosjanie najprawdopodobniej jednak zatrzymają się w wiosce olimpijskiej. Zdaniem cytowanego radzieckiego przedstawiciela, statek będzie wykorzystywany dla organizacji oficjalnych przyjęć i będzie pełnił — jak to określili — „funkcję reprezentacyjną”. Nie wiadomo jeszcze, ilu członków ekipy zamieszka na statku, podobnie jednak, jak każdy kraj wysyłający tu gwiazdy sportu, najprawdopodobniej radzieccy atleci przywiozą na Olimpiadę większą liczbę indywidualnych trenerów i lekarzy niż zostało oficjalnie akredytowanych.

Rosjanie decydowali się więc zamieszkać z przedstawicielami reszty świata — nie można natomiast powiedzieć tego samego o niektórych innych znanych olimpijczykach.

— Iwan Lendi (pierwszy tenisista świata) nie ma zamiaru mieszkać w olimpijskiej wiosce. Podobnie zresztą Ben Johnson (kanadyjska gwiazda biegu na 100 m) — mówi jeden z działaczy olimpijskich. — Ci panowie robią zbyt duże pieniądze, by się pospolitować.

Generalnie rzecz biorąc, Poludniowi Koreańczycy są przekonani o jednym: Igrzyska sygnalizują wyjście kraju z ekonomicznego

uregulowanie rzeki Han. Co pozwoliło na przekształcenie jej błotnistych brzegów w elegancką promenadę w samym centrum miasta, z kortami tenisowymi i placami zabaw, poprzeczaną mostami, wiodącymi ku wymyślnej autostradzie wschód-zachód.

Pozostałe 1,7 mld. wydano na 112 ośrodków sportowych, szkoleniowych i sferę usług towarzyszących, z sumy tej pokryte będą także koszty organizacji samych Igrzysk, trwających 16 dni, 800 mln pochodzi tu ze źródeł prywatnych — firma Daewoo przygotowała regaty, jakie mają odbyć się w Pusan, Stowarzyszenie Wyścigów Konnych Korei — zawody hipiczne, firma Samsung Construction — tory do zawodów wioślarskich a Uniwersytet Hanyang udostępnił nowe sale do rozgrywek tenisowych i siatkówki.

Największym komercyjnym przedsięwzięciem były włoskie olimpijskie: zbudowane w sumie 9 454 trzy- i czteroosobowych domków, które zostały już sprzedane na pniu Koreańczykom za sumy 44 — 80 milionów wonów (około 56 400 — 102 560 dol.). Konsorcjum budowlane z pewnością więc odzyska włożone kapitały — organizatorzy Olimpiady także zresztą mogą liczyć na swoją część. Rodziny, ubiegające się o olimpijskie apartamenty musiały zapłacić minimum 1 335 mln wonów w ramach „kontrybucji” — najhonorowierzy w nagrodę mieli przydzielane budynki; ci, dla których nie wystarczyło domów, otrzymywali wpłacone sumy z powrotem. Mieszkania — do zasiedlenia w trzy miesiące po zakończeniu Olimpiady — będą przekazywane wraz z całym urządzeniem, ogrzewaniem uruchamianym na sygnał telefoniczny i sprzętem kuchennym. Ich dodatkowym plusem jest także doskonała lokalizacja.

Inne olimpijskie instalacje kosztowały poniżej 900 mln dol. — mniej niż zakładano uprzednio. Jest to przede wszystkim nowy stadion na 70 tys. miejsc, górujący nad dwoma salami do rozgrywek koszykówki i walk bokserów i kryty basen, położony w pobliżu rzeki. W odległości 6 km znajduje się Park Olimpijski — zacięziony drzewami kompleks, gdzie będą odbywać się zawody w takich dyscyplinach jak kolarstwo, szermierka, gimnastyka artystyczna, podnoszenie ciężarów, pływanie, piłka wodna czy tenis. Park przed 1 500 laty był miejscem, gdzie władcy z dynastii Pekcze zbudowali swe pierwsze zamki. Jedyną inwestycją nie zakończoną do tej pory jest futurystyczny kryty basen z przezroczystym dachem ze szkła i międzynarodowe centrum prasowe, położone na seuleskiej wyspie Yeouido, skąd nadawane będą relacje telewizyjne na cały świat.

Amerykańska sieć telewizyjna NBC zaproponowała już sumę 300 mln dol. w zamian za wyłączność relacji z Olimpiady na teren USA. Inne sieci — japońskie, europejskie i australijskie — mają zapłacić 107 mln dol. W zależności od wpływu reklamowych — opłaty mogą wynieść tu aż 200 tys. dol. za pół minuty reklamy — dochód NBC może przekroczyć 500 mln dol.

Oprócz dochodów z tytułu relacji telewizyjnych KO Olimpiady zarobi najprawdopodobniej ok. 171,9 mln na sprzedaży olimpijskich emblematów, 128,2 mln dol. na monetach olimpijskich, okolicznościowych znaczkach pocztowych i medalach, 122,3 mln dol. na olimpijskiej loterii, 41 mln na reklamach, 100 mln na „kontrybucjach” z tytułu sprzedaży apartamentów w wiosce olimpijskiej i dalsze 35,9 mln dol. na opłatach z tytułu najmu. Dane te nie imponują jednak wszystkim. Jeden z zachodnich działaczy olimpijskich powiada:

— To śmieszne mówić o profitach na tym etapie. Koreańczycy wciąż budują coraz większe i wymyślniejsze obiekty. Przyjeżdżający tu ludzie są zaskoczeni tym, co już zrobiono. A to wszystko kosztuje olbrzymie pieniądze.

Niektórzy zastanawiają się, czy południowokoreańskie wiodące chałupy — konglomeraty gospodarcze — przedstawiałyby ciekawie w białym, podobnie jak miało to miejsce w czasie niedawnych wyborów prezydenckich. I chociaż inwestorzy najprawdopodobniej odzyskają swoje pieniądze, trudno uwierzyć np., by indywidualne rodziny były w stanie wypłacić tak olbrzymie sumy, jakie — jak twierdzi KO Olimpiady — uzyskano w ramach „kontrybucji” za sprzedaż apartamentów olimpijskich.

Dość największym problemem jest mimo wszystko zaistnienie na miejscu ok. 250 tys. spodziewanych w Seulu gości oraz sprawy biletów wstępu na poszczególne rozgrywki. W czasie Olimpiady w Calgary 20 proc. biletów przekazywano tzw. olimpijskiej rodzinie. W Seulu mówi się o 35 proc. biletów — przy czym KO Olimpiady w całości kontroluje zarówno sprawy biletów wstępu, jak i zakwaterowania — począwszy od komitetów olimpijskich, poprzez biura podróży i skończywszy na znanych osobistościach. Pracownik jednej z ambasad tak skomentował ten fakt:

— Robią wszystko, by zadowolić przybywające osobistości i oszarować je, gdy już znajdą się na miejscu.

Zarówno w rodzinnej wiosce olimpijskiej, jak i we wszystkich 67 turystycznych hotelach w Seulu — łącznie z budowanymi dopiero 15 nowymi hotelami — wszystkie miejsca są już zarezerwowane. KO Olimpiady zastrzegł sobie 60—70 proc. wszystkich 15 300 pokoi hotelowych; same hotele zarezerwowane pozostałe miejsca dla załóg samolotowych, stałych gości i innych ważnych osobistości. W miejscowych hotelach może dojść jednak do sytuacji, podobnej do tej, jaka miała miejsce w czasie Igrzysk Azjatyckich, gdy w ostatnim momencie okazało się, iż są wolne miejsca, ponieważ część spodziewanych gości nie przyjechała. Igrzyska Olimpijskie są jednak czymś zupełnie innym.

Zadziwiająco, iż jak do tej pory została zamówiona jedynie mniej niż połowa miejsc w 282 zakładach turystycznych, przygotowanych na przyjęcie olimpijskich gości. Niektóre biura podróży niechętnie oferują w nich miejsca swym klientom, ponieważ obawiają się, iż nie odpowiadały one międzynarodowym standardom, do jakich goście mogą być przyzwyczajeni. Inne biura — jak Australia Keith Prowse czy Hongkong King's Line Travel — nie mają podobnych obiekty i nie narzekają na brak chętnych.

Każdy narodowy komitet olimpijski wyznaczył jedno krajowe biuro podróży do załatwiania spraw turystycznych — dyplomatyczne źródła mówią jednak, iż niektórym indywidualnym przedsiębiorstwom udało się obejść ograniczenia i ułbić dobry interes, podczas gdy inne wkroczyły na rynek oferując konkurencyjne ceny.

— Te biura, które chciały iść drogą oficjalnej procedury, zazwyczaj przegrywało — mówi jeden z zachodnich dyplomatów.

Jednym z przykładów może być Kanada, której zaofiarowano jedynie 200 miejsc hotelowych, podczas gdy Australia dostała ich aż 500. Do akcji weszło inne biuro, które zaczęło konkurować z oficjalnie desygnowaną firmą, uprawnioną do operowania na rynku USA. Nowe przedsiębiorstwo sprzedaje pokójki poprzez granicę olimpijskie bilety, oferując także konkurencyjne ceny tym Kanadyjczykom, którzy pozostali poza liczbą 200 szczęśliwców.

Oczywiście biura podróży nie mogą sprzedawać samych biletów, nie załatwiają spraw pobytu w Seulu — stąd też jedynie przyłączenie się do zorganizowanej grupy może gwarantować turystyce bilet na wybraną dyscyplinę sportu i pobyt na samych Igrzyskach. Nawet i w takim przypadku mogą zdarzyć się niespodzianki. Największym popytem oczywiście cieszą się ceremonie otwarcia i zamknięcia Igrzysk — ściśle ograniczona jest jednak także liczba biletów na zawody w pływaniu czy gimnastyce. Zwykle kibice, którzy chciałby sam coś załatwić, nie ma więc praktycznie żadnych szans.

— Wiele ludzi chciałoby przyjechać. Nie wiedzą jednak jak to zorganizować — powiada jeden z europejskich dyplomatów.

Może to przede wszystkim oznaczać, iż mimo że Olimpiada w Seulu — jak się zanosz — może być największą i najlepszą imprezą tego typu, w czasie Igrzysk kamery telewizyjne mogą zarejestrować smutny widok: rzędy pustych krzeseł.

JOHN McBETHA
(„Far Eastern Economic Review”)

CSRS

Rząd CSRS przyjął program oszczędnościowy, który dotyczy przede wszystkim władz centralnych. Ich stan liczebny ma być zredukowany od 30 do 50 procent. Zwolnionych zostanie 50 proc. w centralnych, federacyjnych urządach około 5 800 osób. Część zwalnianych umożliwi się wcześniejsze przejście na emeryturę. Pozostali znajdą pracę w usługach, służbie zdrowia i w gospodarce. Polecono władzom lokalnym, aby do 1 lipca 1988 roku sporządziły spisy wolnych miejsc pracy. Wymówiono pracę wszystkim... wiceministrom. Przyjęto zasadę, że w każdym ministerstwie może być tylko trzech wiceministrow. Przyjęto też zasadę — trochę trudną do zrozumienia w naszych warunkach — że kierownicy centralnych organów administracji państwowej oraz ministrowie nie mogą mieć więcej niż trzech... pracodawców.

W centralnych urządach federacyjnych ograniczono liczbę samochodów służbowych. Nadwyżkę postanowiono sprzedać obywatelom jako auta używane. W tej liczbie znajdują się też luksusowe limuzyny „Tatra 613”.

Oszczędności wprowadził się też w służbie zagranicznej CSRS.

JUGOSŁAWIA

W Słowenii — najbardziej gospodarczo rozwiniętej republice w Jugosławii — dochodzi do dużego czasu do krytyki polityki władz federacyjnych, w tym do krytyki jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Na przykład podczas wizyty jugosłowiańskiego ministra obrony — admirała Branko Mamuli w Etiopii słoweńskie pismo młodzieżowe „Mladina” podało w wątpliwość sens tej wizyty oraz sens sprzedaży Etiopii jugosłowiańskiej broni. Na łamach „Mladiny” admirał Branko Mamuli został nazwany „handlarzem śmierci”.

W Słowenii obok wielu różnych kontrowersyjnych poglądów podano też w wątpliwość potrzebę istnienia Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, postulując powołanie w jej miejsce armii republikańskiej.

Szerzenie tych i innych poglądów, w tym też na łamach gazet i czasopism, spowodowało krytykę ich przez władze federacyjne oraz KC Związku Komunistów Jugosławii. Natomiast w Słowenii rozeszły się pogłoski o mającym nastąpić wojskowemu zamachu stanu w Słowenii, którego celem miało być ukrócenie liberalnych rządów w tej republice. Doszło do tego, że 22 osoby ze Słowenii wystosowały list do Konferencji ZKJ z żądaniem wyjaśnienia, czy takie pogłoski są prawdziwe. Sekretarz generalny KC ZKJ — Ljubomir Urošević poinformował delegatów na Konferencję ZKJ, że „pogłoski te są całkowicie bezpodstawne i stanowią polityczny intruz”.

Niemniej jednak doszło w Słowenii do aresztowań. Zatrzymani zostali do dyspozycji sędziego śledczego sądu wojskowego w Lublanie Janez Janszy, David Tasić, Ivan Borszner, Janez Janszy był jednym z czterech kandydatów do objęcia funkcji przewodniczącego republikańskiej konferencji organizacji młodzieżowych Słowenii, David Tasić jest dziennikarzem pisma „Mladina”, a Ivan Borszner — chorążym Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Jak wynika z niektórych źródeł u Davida Tasića i Ivana Borsznera znaleziono dokumenty tajne dotyczące Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Inne źródła zaprzeczają jakoby były to dokumenty tajne.

Aresztowanie młodych ludzi spowodowało w Lublanie wielkie wzburzenie. Przeciwni temu zaprotestował Związek Pisarzy Słowenii oraz kierownictwo organizacji młodzieżowych Słowenii. Organizacje młodzieżowe Słowenii oświadczają, że opowiadają się za „silną armią w służbie narodu” i że „Jugosłowiańska Armia Ludowa jest fundamentalnym gwarantem obrony i niepodległości ojczyzny”. Krytykują jednocześnie Skupszczyznę Słowenii — która zajmowała się sprawą aresztowań — że nie potrafiła nic wyjaśnić i nie zdołała uzyskać niezbędnych informacji na temat przyczyn aresztowań.

RUMUNIA

Z okazji 43 rocznicy zwycięstwa nad hitleryzmem na łamach pisma teoretycznego KC Rumuńskiej Partii Komunistycznej — „Era Socialista” ukazały się artykuły wiceministra obrony narodowej pułkownika dr Ilie Ceausescu i dr Mihaila E. Ionescu. Przypominają oni o roli Rumunii w zwycięstwie w II wojnie światowej. Jak pisze Ilie Ceausescu hitlerowski arbitraż w sprawie sporu terytorialnego przeprowadzony w Wiedniu 30 sierpnia 1940 roku nakazał oddanie Węgrom Siebmogrodu i pchnął rząd Rumunii Iona Antonescu pod całkowite wpływy Trzeciej Rzeszy. W Rumunii rozpoczął się terror faszystowski. W październiku 1940 roku do Rumunii wkroczyła wojska hitlerowskie, a w czerwcu 1941 roku Rumunia — wbrew woli narodu — została pchnięta do wojny w ZSRR. Dopiero 23 sierpnia 1944 roku obalono reżim Iona Antonescu i Rumunia przystąpiła do wojny po stronie koalicji antyfaszystowskiej. Siły zbrojne Rumunii w ciągu 8 dni wyzwoliły stolicę oraz rejon centralne i południowe kraju, związały walką 6 dywizji Wehrmachtu.

WĘGERSKA REPUBLIKA LUDOWA

Na Węgrzech znajduje się obecnie przeszło 10 000 Węgrów, którzy przybyli tu z Rumunii z pragnieniem pozostania na stałe. Z tego 3 200 osób otrzymało zezwolenie na pobyt stały. Sekretariat KC Węgierskiego Komunistycznego Związku Młodzieży (KISZ) wystosował list do przewodniczących organizacji w województwach, w którym zwraca uwagę, że ludzie chętnie pomagają przybyłym Węgom, ale jednocześnie boją się, że pomoc państwa dla przesiedlonych obciąży budżet narodowy. List KC KISZ wyraża organizację do niesienia pomocy młodym Węgom przybyłym z Rumunii.

Na łamach organu KISZ — w tygodniku „Magyar Ifjúság” — ukazał się list czytelnika, z którym zgadza się redakcja, wyrażający do pomocy dla Węgrów przybyłych z Rumunii. Autor tego listu podkreśla, że na koncie WCZ. Krzyża znajduje się kilka milionów forintów. Gdyby każdy pracujący Węgier, a jest ich 5 milionów, wpłacił tylko na ten cel 10 forintów, to zebrano by sumę 50 milionów forintów.

Na Węgrzech powstał nowy związek zawodowy — Demokratyczny Związek Zawodowy Pracowników Naukowych. Do tej pory pracownicy nauki należeli do ZZ Pracowników Państwowych. Legitymacje nr 1 otrzymał historyk György Spira — inicjator tego ruchu. DZZ Pracowników Nauki chce zerwać z dotychczasową tradycją ruchu związkowego na Węgrzech, odrzuca centralizm demokratyczny i uważa, że w przedsiębiorstwie może istnieć więcej niż jeden związek zawodowy. Wszystko wskazuje na to — podkreślają obserwatorzy — że nie będzie on działał w ramach Krajowej Rady ZZ, ale nie jest to też „węgierska Solidarność”. Krajowa Rada ZZ w odpowiedzi postanowiła utworzyć w ramach ZZ Pracowników Państwowych — ZZ Pracowników Naukowych, utrzymując, że trzy czwarte członków ZZPP popiera takie rozwiązanie.

Na Węgrzech każdy może mieć antenę telewizyjną satelitarnej. Musi tylko płacić 100 forintów miesięcznie i oglądać te programy, które wynagrodziła poczta węgierska. Są to 3 programy, w najbliższym czasie przybędzie dalszych 6 programów.

Na Węgrzech — jak utrzymują znawcy problemu — około 5 procent ludności — to homoseksualiści lub lesbijki. W związku z tym grupa założycielska zwróciła się do władz o założenie Krajowego Stowarzyszenia Homoseksualistów. Celem tego stowarzyszenia byłaby walka z AIDS. Zdaniem specjalistów służba zdrowia nie poradzi sobie całkowicie z zagrożeniem, gdyż nie potrafi przeprowadzać testów zupełnie anonimowo. Stowarzyszenie — na cele którego stałoby też lekarze — znalazło sposób na rozwiązanie problemu i uzyskało zgodę oraz poparcie władz. Zdaniem grupy założycielskiej stabilne związki osób tej samej płci hamowałyby rozprzestrzenianie się AIDS.

Opracowała:
JADWIGA M. NIEDZWIECKA



zaślanek, podobnie jak Olimpiada w 1964 r. była sygnałem przekształcenia się Japonii w nowoczesną potęgę przemysłową. Koreańczycy zaczynają się już zresztą przekonywać, że w praktyce oznacza postęp — także i korki uliczne i wzrost przestępczości w miastach. W ostatnich miesiącach zasadniczo wzrosła tu liczba włamań do domów i napadów ulicznych — większość tych przestępstw była popełniana przez uzbrojoną w noże młodzież. Do tej pory głównym zadaniem — jeśli nie jedynym — seuleskiego policjanta było stawianie czoła radykalnym studentom. Dziś, gdy zamieszki na tle politycznym przysiały, policyjne patrole zostały zmuszone do zwracania bacniejszej uwagi na narastającą falę drobnych przestępstw w tym piątym co do wielkości mieście świata.

Im bardziej zbliża się będzie Olimpiada, priorytety mogą ulec zmianie. Policja i siły zbrojne kraju stanowią główny trzon liczący 60 tys. ludzi sił bezpieczeństwa, pełniących służbę na rozgrywkach sportowych, w wiosce olimpijskiej czy w hotelach turystycznych. Niektórzy z nich zostali specjalnie przeszkoleni na wypadek aktów terrorystycznych. Oficjalne koła publiczne odwołują informowania o tym, jakie środki zapobiegawcze zostały podjęte.

Przewodniczący seuleskiego Komitetu Organizacyjnego Olimpiady, Pak So Jik — czarujący były generał, który — jeśli przebieg Olimpiady będzie zgodny z oczekiwaniami — może stać się w najbliższym czasie jedną z najpopularniejszych postaci w kraju, ma prostą odpowiedź na wszystkie pytania, dotyczące kwestii bezpieczeństwa w czasie Igrzysk:

— Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Jesteśmy w stanie zagwarantować bezpieczeństwo każdemu, kto sechne przyjechać na Olimpiadę.

Zdaniem przedstawicieli KO Olimpiady pod względem finansowym Igrzyska Olimpijskie w 1988 r. można już nazwać sukcesem — czysty zysk prawdopodobnie wyniesie ok. 271 mln dol. — o 22 proc. więcej niż wyniosły zyski Olimpiady w Los Angeles (222 mln dol.). Do ogólnej sumy kosztów — 3,1 mld dol. — wliczono m.in. 1,4 mld dol., przeznaczoną na realizację projektów, jedynie luźno związanych z Igrzyskami — takich jak

W Łódzkiej Wytwórni Filmów Fabularnych powstaje kolejny film Zbigniewa Kuźmiewskiego zatytułowany „Desperacja”. Scenariusz napisał reżyser wspólnie z Kazimierzem Radowiczem. Film opowiada o wydarzeniach poprzedzających wybuch Powstania Styczniowego. Na ich tle ukazana jest dramatyczna miłość Katarzyny (Maria Mielnikow-Krawczyk) i Marcina (Krzysztof Ibis) w trudnych dla Polaków czasach.



Foto: Sławomir Klemba

Katarzyna, chcąc ratować swojego męża z niewoli, podejmuje desperacką decyzję współpracy z oficerami carskiej policji: płk. Huberem (Janusz Zakrzewski) i zakonchym w niej mjr. Woroncowa (Leszek Zdybał). Ich działalność smierza do maksymalnego osłabienia polskich sił konspiracyjnych, przygotowujących wybuch powstania.

Marcin wzbudza szczególne zainteresowanie policji carskiej, bowiem może doprowadzić na ślad przywódców niepodległościowego erywu. Osoba, która ma dostarczać koniecznych informacji jest właśnie Katarzyna. Między młodą małżonką się nie sympatizuje, a w końcu prawdziwej miłości, która zwycięża sprytnie zawiązaną intryzę. Losy powstania do końca pozostają nieznane.

patriotyczny, a więc przygotowywanie powstania.
— Jaką obecnie scenę pan realizuje?
— Zastąpiła nas pani w trakcie realizacji sceny przedstawiającej dość frywolną zabawę, w której biorą udział podstarzały reprezentant świata biznesu, oficerowie carskiej policji: płk. Huber i mjr. Woroncow oraz damy do towarzyszenia — wspaniałe konduktorki: aktoreczki, baletnice... Zabawa osiąga swoje apogeum i pomalutku

ki będzie — zobaczymy? — to dopiero poczekajcie pracy...
— Jaki jest mjr. Woroncow? — pytam odtwórcę tej roli, którym jest Leszek Zdybał.
— To skomplikowana postać, ciekawa i dobrze napisana. Właściwie do końca nie wiadomo, czy mjr. Woroncow jest tak bardzo złym i wyrafinowanym człowiekiem, czy może pozostał w nim choćby szczytki czegoś dobrego...
— A pan, jak chce tę postać za-

„Chwilowe osłupienie”

— RELACJA Z PLANU ZDJĘCIOWEGO FILMU PT. „DESPERACJA”

— Co skłoniło pana do podjęcia takiego tematu?
— Od kilku lat tkwiałem w kręgu historycznej tematyki. Dzieje się tak za sprawą Kazimierza Radowicza, z którym od dłuższego czasu współpracuję. Jest on rozmowny w historii. Jego pasja wpływa na mnie inspirująco. Zaczęliśmy od wspólnego napisania scenariusza telewizyjnego serialu „Republika Ostrowska” — film odwołujący się do sytuacji i atmosfery panującej przed proklamowaniem Republiki Ostrowskiej (10 XI 1918 r.) na Ziemi Wielkopolskiej w 1917 r. Następnie powstało „Nad Niemnem” opowiadające o losach nadniemeńskich bohaterów z końca XIX wieku. W adaptacji filmowej znanej książki Marii Rodziewiczówny p.t. „Między ustami a brzegiem pucharu” staraliśmy się pokazać romans na przełomie XIX i XX wieku. No a teraz przyszła kolej na okres poprzedzający wybuch Powstania Styczniowego.
— Jakiego zagadnienia będzie pan starał się szczególnie zaakcentować w filmie?
— Będą prowadzone w filmie równoległe do siebie dwa nurty. Pierwszy podejmujący problem wielkiej miłości, gotowej do poświęceń, czasami w niezgodzie z etyką... Drugi to ogromny nurt stereotypowym policjantem. A ja-

wchodzimy do sceny zasadniczej. Wyalienowany z towarzystwa mjr. Woroncow samotnie popija wodę, nagle wstaje, podchodzi do rozstawionego instrumentu (Wiesław Konraduk). Sam zaczyna sobie akompaniować i śpiewać dzwicznym barytonem „Dwie gitary”. Płk. Huber obserwujący uważnie swego podwładnego, po zakończonym występie, uhonorowawszy brawami, szepce Woroncowowi do ucha:
— Polak na pana miejscu zaśpiewałby: „Uciekła mi przepióreczka...”
— Nie uciekła. Zaraz ją tu przywiozłem.
— Ona nie z tych, Woroncow! Nie z tych...
— To zobaczymy z jakich...
— Zwracam się do Janusza Zakrzewskiego: — Jaki jest pana płk. Huber?
— W hierarchii ważności to czwarta postać w filmie. Wokół płk. Hubera toczy się cała akcja. Ma on do spełnienia dosyć proste zadania. Nie lubię grać jednoznacznych postaci, dlatego staram się wyłuszczyć z tej roli jakieś meandry, które pozostawiłyby w nieścisłości, nieścisłości, nieścisłości...
— W hierarchii ważności to czwarta postać w filmie. Wokół płk. Hubera toczy się cała akcja. Ma on do spełnienia dosyć proste zadania. Nie lubię grać jednoznacznych postaci, dlatego staram się wyłuszczyć z tej roli jakieś meandry, które pozostawiłyby w nieścisłości, nieścisłości, nieścisłości...
— W hierarchii ważności to czwarta postać w filmie. Wokół płk. Hubera toczy się cała akcja. Ma on do spełnienia dosyć proste zadania. Nie lubię grać jednoznacznych postaci, dlatego staram się wyłuszczyć z tej roli jakieś meandry, które pozostawiłyby w nieścisłości, nieścisłości, nieścisłości...

kreślić widzowi?
— Chciałbym w nim ocalić trochę dobroci.
Plan zdjęciowy dobiega końca. Ostatnia scena ma być na twarzy Z. Kuźmiewskiego uśmiech. J. Zakrzewski i L. Zdybał patrzą na siebie długo, z podziękowaniem, obserwatorzy stoją w osłupieniu. Trudno ująć słowami stan chwilowego oczarowania interesującą zagraną sceną, a jednak pytam reżysera:
— Co czuje twórca, kiedy jego wizja przybiera kształt zgodny z wcześniejszymi wyobrażeniami?
— Czujemy się bardzo ukontentowani, przecież to nie tylko moja radość, ale nas wszystkich, biorących udział przy realizacji. Film powstaje w wyniku zbiorowego wysiłku, to jest nasza wspólna radość.
— Kiedy przewiduje pan zakończenie filmu?
— Mam nadzieję, że w lipcu „Desperacja” będzie koludowana.
— Życzę zatem powodzenia.

IWONA NIEMIEC-ADAMSKA

A może do kina?



Tym razem proponujemy radziecki film sensacyjny pt. „Konfrontacja” Walerija Kriemniewa. Temat, który podejmuje reżyser coraz częściej pojawia się na ekranach radzieckich kin — alkoholizm i jego skutki. Jest to opowieść o kobiecie, która ratując męża sama popada w nieścisłość, uniemożliwiając jednocześnie swojego synka, a wszystko to prowadzi do ostateczności. W roli matki-piżaczki wystąpiła stalentowana aktorka Jelena Sałowa, a partnerują jej Nikołaj Karaczencow, Ludmila Polatowa, Jelena Popowa, Boris Drapkin, Sława Jesionowski, Aleksander Jegorow, Wiktor Szulgin i in.

Fakty ♦ Plotki ♦ Anegdotki

* Dorota Kędzierzawska — będąca jedną z młodszych reżyserów filmowych — za swój film pt. „Jajko” została laureatką Nagrody im. Andrzeja Munka. Nagrodę ufundowała siostra niezłającego reżysera, która jest lekarką mieszkającą w Szkocji i żoną wiceprezidenta festiwalu filmowego w Edynburgu. Do nagrody kandydowało 13 filmów. * Krzesimir Dębski, znany jazzman, otrzymał nagrodę „Prix Genie 1988” za muzykę do filmu „Young Magician” (Młody czarodziej). Nagroda, która przyznaje Akademia Filmowa, jest kanadyjskim odpowiednikiem amerykańskiego Oscara. * 6 czerwca br. odbył się premierowy pokaz filmu Krzysztofa Sowińskiego pt. „Pantarej”. Film traktuje o problemach narkomanii wśród młodzieży. Na przedpremierowy pokaz zaproszono grupę z Monaru — aktualnych i byłych narkomanów oraz uczniów łódzkich szkół. * Gina Lollobrigida, słynna bohaterka zekranizowanej przed wieloma laty powieści Alberta Moravii pt. „Rzymianka” przeobrazi się tym razem w matkę głównej bohaterki. Giuseppe Patroni Griffi przystąpił bo-

wiem do realizacji nowej wersji ekranowej „Rzymianki”. * Od 8 do 14 sierpnia odbędzie się XVI Koszalińskie Spotkania Filmowe „Młodzi i Film”. O Wielkiego Jantara ubiegać się będą polskie i zagraniczne filmy traktujące o problemach młodzieży. Filmoteka Polska przedstawi m.in. retrospektywę młodzieżowych filmów muzycznych, a WFD zestaw filmów dokumentalnych dotyczących patologii w środowisku młodzieżowym — narkomanii i alkoholizmu. * Jerry Kramers, znany dotychczas z licznych videoklipów, przystąpił do realizacji filmu fabularnego pt. „Moonwalker” (Lunatyk). Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że w filmie ma wystąpić... Michael Jackson, a na okrasie także Sean Lennon, syn Johna. * Realizację komedii filmowej pt. „Glasnost” — o przygodach Amerykanów w Moskwie — zapowiada John Boorman. Rewelacyjnie brzmi to, że film ma powstać, jak zapowiada twórca, w koprodukcji z radziecką kinematografią. Strona radziecka nie potwierdziła tej wiadomości.

Jedną z najmniej znanych historycznych formacji wojskowych II wojny światowej były do niedawna niemieckie bataliony oznaczane zagadkową liczbą „999”. Sporo Niemców sądziło, że istniał tylko jeden taki batalion, noszący oficjalnie nazwę batalionu karnego, gdy w rzeczywistości zwał się „Bewährungsbataillon 999”, a kierowano doń więźniów, zarówno przestępców kryminalnych, jak i politycznych przeciwników hitlerowskiego reżimu.

Znamienne, iż były korespondent wojenny Wehrmachtu Heinz G. Kossalik, uprawiający popularyzację historii w ujęciu raczej sensacyjnym, wydał w 1959 r. w serii tzw. kieszonkowców książkę „Karny batalion 999”. Jej tytuł sugerował więc błędnie, iż był tylko jeden batalion tego rodzaju i że nosił oficjalnie nazwę karnego. Książka doczekała się aż 29 wydań, a po jakimś czasie ekranizacji, dopiero jednak nakreślony na jej podstawie w 1985 r. film telewizyjny wzbudził głębsze zainteresowanie i uświadomił historykom ostatniej wojny, że nie pełnego na ten temat nie wiedzą.

Co to były bataliony 999 tworzone przez Wehrmacht?

Mieli wykonywać najniebezpieczniejsze zadania



Zabrano się więc gorliwie do prac badawczych, które wykazały, iż Heinz G. Kossalik nie tylko w tych dwóch sprawach rozminął się z prawdą. Do najwybitniejszych opracowań tematu zalicza się obecnie książkę napisaną przez młodego historyka, Hansa Petera Kautscha, której omówienie zamieścił niedawno zachodniemiecki tygodnik „Der Spiegel”.
W związku z tytułem tego artykułu, który brzmi: „Godny warunkowo” należy się wyjaśnienie, że za czasów hitlerowskich kwalifikowano osoby skazane na więzienie lub obóz z powodów czy to kryminalnych, czy politycznych, jako „niegodnego pełnienia zaszczytnego obowiązku obrony ojczyzny”. Taki tekst wydrukowany był w niemieckiej książeczce wojskowej, niebieskiej zresztą, jak pisał „Spiegel”, w odróżnieniu od normalnie używanej czarnej.

Jak się dowiadujemy z książki, w miarę przedłużania się wojny i wzrostu strat w ludziach, zwłaszcza na froncie wschodnim, powzięto myśl w niemieckim naczelnym dowództwie, żeby do szczególnie niebezpiecznych akcji użyć jako „miesza armatniego” więźniów. A więc uznano ich za „godnych warunkowo” do pełnienia służby wojskowej (Zapewne też dlatego nie zdecydowano się użyć deprecjonującego przymiotnika „karny” — przyp. — J.K.).

W październiku 1942 r., a więc w początkach wielkiej bitwy stalingradzkiej powołano wspomniane formacje, zaczęto wyciągać skazanych z więzień i obozów i kierować do, ostawionego od czasów cesarskich, zapadłego garnizonu w Szwabii, w okolicy o wyjątkowo dokuczliwym klimacie, zwanej „szwabską Syberią”. Mawiano o niej, iż „przez dziewięć miesięcy panuje tam zima, a przez resztę roku chłody”.

Wyżywienie żołnierzy było podłe, a kadra dowodząca obchodziła się z nimi bełkotnie, nie szczeniąc plag i poniżeń. Co ciekawe, zachował się raport jednego z oficerów, stwierdzający, że więźniowie polityczni „zadają sobie wiele trudu, by jak najwłaściwiej wypełniać obowiązki służby. Są oni nadzwyczajnie chętni i wszyściego ciekawi. Należy zachowywać wobec nich specjalną czujność”. Okazało się też, iż „polityczni” nie symulowali i rzadko trafiali do izby chorych. Uzupełniające światło rzuca na motywację postępowania „politycznych” odnaleziony dokument tajnej instrukcji.

„Nie narażać się niepotrzebnie, starać się przyswoić sobie gruntowną wiedzę i umiędzynosić wojskowe”. Jak komentuje Hans Peter Kautsch, chodziło „politycznym” o to, by w stosownym momencie wystąpić przeciwko hitlerowcom z bronią w ręku.

Więźniowie polityczni, przemieszani byli z kryminalnymi w niekorzystnej dla siebie proporcji, gdyż na 30 tys. więźniów, którzy ogółem odbywali służbę w batalionach „999” liczyli tylko 8 tys. osób. Znaczną większość wśród „politycznych” stanowili komunisty, z silnie już do tego czasu przetrzebianej Komunistycznej Partii Niemiec, nie brak też było socjaldemokratów, zdarzali się Świadkowie Jehowy, a nawet usunęci z partii hitlerowskiej i uwięzieni uczestnicy „czarnego frontu”, któremu przewodził przeciwnik Adolfa Hitlera, Otto Strasser. Ważną gru-

pę stanowili uczestnicy wojny domowej w Hiszpanii, gdzie, jak wiadomo, ochotnicy niemieccy stanowili najliczniejszą grupę wśród członków międzynarodowych brigad.

Polityczni, którzy musieli konspirować się również przed swoimi dawnymi współwięźniami kryminalnymi, tworzyli tajne komórki w liczbie 3 do 10 osób, a wiadomości i i strukcje przekazywali sobie w czasie niedzielnego nabożeństwa lub marszów, a sztab służby informacyjnej mieścił się w baraku kuchennym. Polityczni zabiegali wytrwale o uzyskanie dostępu do ważniejszych funkcji: kierowców w dowództwie, ordynansów, łączników, a także przy obsłudze karabinów maszynowych i granatników.

Pierwsze bataliony „999” (historycy nie rozstrzygnęli uzasadnienia tej liczby), skierowano do Afryki, utworzono z nich najpierw Brygadę Afrykańską — „Afrikabrigade 999”, a potem dywizję liczącą sobie przeszło 7800 ludzi, łącznie z kadrami dowódczymi. Komendantem mianowano pułkownika Kurta Thomasa, poprzednio komendanta w głównej kwaterze Adolfa Hitlera. Puł-

kownik znany był pod przezwiskiem „Toma obłąkanego”, co pozwala wyobrazić sobie jego osobowość. Pojazdy brygady i potem dywizji oznaczone były literą „V”, umieszczoną na poprzecznej belce.

Dalsze jednostki kierowano na front radziecki lub do zwalczania partyzantów w Jugosławii, Grecji, Francji i Belgii (o Polsce publikacja „Spiegla” nie wspomina — przyp. J.K.). Jak stwierdził Hans Peter Kautsch, żołnierze batalionów „999” mogą zapisać na koncie swoich zasług, często przypłacanych życiem, wiele udanych akcji o charakterze antyhitlerowskim. Oprócz bowiem kolportowania ulotek i przekazywania komuniatów radiowych zagranicznych rozgłośni wśród innych formacji Wehrmachtu, udawało im się nieraz przekazywać partyzantom medykamenty, informować ich o ruchach niemieckich oddziałów (dzięki nim uniknęła zasadzki duża grupa greckich partyzantów), uprawiali różne formy sabotażu, uszkadzali pojazdy, udawało im się opóźnić budowę bazy dla niemieckich łodzi podwodnych, ostrzeliwali pod pretekstem „pomyłek” samoloty sojuszników Rzeszy, a wreszcie wielu żołnierzom batalionów 999 udało się przejść grupowo, z bronią w ręku, na stronę wojsk lub oddziałów partyzanckich antyfaszystowskiej koalicji. Ogółem ok. 1500 ludzi, głównie na froncie wschodnim i na terenie Grecji. Pora tu wspomnieć, iż omawiana książka Hansa Petera Kautscha nosi tytuł: „Historia „Batalionów 999” ze szczególnym uwzględnieniem antyfaszystowskiego oporu” — co w świetle przytoczonych faktów ma swoje uzasadnienie.

Bataliony nie spełniły oczekiwań naczelnego dowództwa armii niemieckiej, toteż we wrześniu 1944 mimo rosnącego stale zapotrzebowania na „miesza armatnie” całkowicie zaprzestano do nich naboru. Ostatecznie połowa uczestników tych formacji nie przeżyła wojny, ale ich dziejami i losem pozostałych przy życiu nikt się przez długi czas nie zainteresował w sposób kompetentny. Zapewne dlatego, że, jak sądzi jeden z historyków, „dla wielu pozostał oni do końca przestępcami”.

W jednym z amerykańskich obozów jenieckich żołnierze Wehrmachtu, wierni pamięci Adolfa Hitlera, zlinczowali dawnego uczestnika „batalionu 999”, jako „wroga wielkoniemieckiej Rzeszy”. A na emmentarzu w miejscowości Baumholder w Palatynacie miejscowa ludność wykopała zwłoki żołnierzy batalionów „999”, aby pochować je w przyzwoitszej odległości od zwłok mieszkalców wioski, oddzielając je od kwatery od drugich kilkumetrowej szerokości pasem świerków...

Trochę późno przywrócono pamięć i cześć żołnierzom „999”. Ciekawe, ilu z nich dożyło tej chwili.

Opracował: J. K.

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

MÓWIA, ŻE ŁÓDŹ SIĘ NIE POPISAŁA

Nie pochodzę z Łodzi, ale mieszkam w niej dostatecznie długo (przyjechałam do Łodzi w okresie powojennym jeszcze w mundurze wojskowym, po uprzedniej pracy na placówkach frontowych II Armii WP 5 Dyw. 12 Med. San. Bat. i w szpitalach wojskowych LWP) — toteż nie są mi obojętne jej problemy zarówno jako lekarce, jak i kombatantce (należę do ZBoWiD, Związku Inwalidów Wojennych, Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych).

Cieszyliśmy się wszyscy, nie tylko kobiety i ubiegaliśmy się o to, aby szlachetna idea gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego — dla upamiętnienia walki i martyrologii kobiet polskich w okresie okupacji hitlerowskiej zbudować Pomnik Matki Polki — przybrała postać szpitala z lokalizacją w Łodzi.

Siedzieliśmy z uwagą i uznaniem wysłki zarządu szpitala oraz Komitetu Budowy Szpitala, jak też niestrudzonego w propagowaniu tej idei redaktora Wiesława Machajki. Należy jest duży ułkon i gorące słowa podziękowania za to, że zrobiono tak wiele ośnośnie szpitala, wyposażenia itp.

Niestety, nie znajduję słów uznania odsłonięty niedawno pomnik stojący na zewnątrz szpitala, na wysokim podniesieniu, mający obrazować Matkę-Polkę. Zapowiadano, że po wnikliwym rozpatrzeniu projektów dotyczących tego posągu, jako wyrazu hołdu Matce-Polce wybrano jeden, który miał obrazować kobietę polską o rysach słowiańskich i o twarzy ówczesnej miss Łodzi Joanny Śledzikiej. Szusze to i zrozumiałe. Tymczasem zobaczyliśmy twarz cudzoziemki. Afrykanki? Indianki? Czy innej nacji? Na barku kobiety opiera się nienaturalnie pogrubione (jak na dziecko) ramię dziecka z obrzmiałymi dłońmi i palcami. Takie nabręknienie noworodka rodzą się na szczęście coraz rzadziej w związku z niezgodnością serologiczną krwi rodziców jako wyraz patologii — choroby hemolitycznej i w tym nie powinna się objawiać w tej formie dowolność rzeźbiarska. Natomiast wypowiadano się pozytywnie wśród lekarzy i innych o rzeźbie kobiety z dzieckiem, umieszczonej wewnątrz szpitala. Z przysłowią słuchaliśmy słów przypadkowo spotkanych przyjeźdźnych, którzy schodząc ze stopni pomnika wyrażali się z dezaprobatą o całości uważając, że pod tym względem Łódź się nie popisała i należałoby albo przenieść całość na inny neutralny teren albo zmniejszyć głowę. A myśmy myślały, że będziemy pomnik pokazywać z dumą i przyjemnie się zwycaić, że nowożeńcy wprost z Urzędu Stanu Cywilnego będą się tam udawać, by złożyć kwiaty u jego stóp.

Należę do odchodzącego już, stopniowo wymierającego społeczeństwa kombatantckiego, jestem już chyba, niestety, jedyną lekarką w Łodzi z przeszłością walk frontowych w czynnej służbie wojskowej, oprócz żyjących jeszcze kilku lekarzy, byłych więźniarek obozów koncentracyjnych. Dane statystyczne wykazują, że umieralność kombatantów w skali krajowej wynosi ponad 120 osób na dobę.

W czerwcu 1987 roku członkini i podopieczna Związku Inwalidów Wojennych Oddział Łódź-Bałuty zwróciłyśmy się do prezydenta m. Łodzi z prośbą, aby przyłączyć, powstające przy szpitalu ulice, otrzymały nazwy związane z wojenną czy pokojową działalnością naszych kobiet. Proponowałyśmy między innymi do wyboru wg uznania nazwy: ul. Kombatantek, Platerówek, Bojowniczek o Wolność, Sanitariuszek wojennych, im. Michalina Tatarskiego-Majkowskiej itp. a tworzący się park, aby był nazwany im. „Dziewcząt Polskich”. W Łodzi nie ma ulic o nazwach dotyczących kobiet okresu wojennego, choć są ogólnie jak: Wojska Polskiego, Armii Ludowej, Armii Czerwonej, Batalionów Chłopskich, Obrońców Stalingradu itp. Wysłałyśmy pismo z prośbą o poparcie do Komitetu Łódzkiego PZPR, Rady Łódzkiej PRON, Zarządu Wojewódzkiego ZIW i Komitetu Budowy Szpitala. O treści tego pisma powiedziano również Zarząd Zespołu Kombatantek Ludowego Wojska Polskiego mieszczący się w Warszawie przy Zarządzie Głównym ZBoWiD.

JANINA ŁUKASIEWICZ
(doktor medycyny)

CO DALEJ Z PRZEJAZDEM PRZY ULICY SREBRZYŃSKIEJ?

Od wielu lat przejazd przy ul. Srebrzyńskiej przy al. Włókniarzy był zamknięty dla ruchu kołowego. Z uwagi na bardzo duży ruch był czynny tylko dla pieszych. Jednak w ciągu ostatnich lat wydarzyły się dwa śmiertelne wypadki najechania przechodniów przez pociąg. Sprawa nie była tak prosta, jak by wynikało z pobieżnej oceny.

Ruch pociągów bezpośrednio przed dworcem Kaliskim jest duży, wobec tego przejazd był zamknięty na czas przejazdu kilku pociągów. Później zaprzestano tego, ale przechodzący tamtędy zdążyli się przyzwyczaić do przechodzenia przy opuszczonych zaporach, w czasie dzielącym przejazd dwóch pociągów. Wynikło z tego kilka tragicznych wypadków, ale nikt nie analizował faktycznych przyczyn. Nie zmieniono się przez lata, ani stare zaporę, ani urządzenia sygnalizacyjne. Starsi ludzie tracili życie, a właśnie dla nich to przejście jest szczególnie potrzebne.

Jest to jedyna najbliższa droga mieszkańców osiedla im. M. Mireckiego, pozbawionego większości usług i sklepów do placówek usługowo-handlowych na osiedlu „Koziny”. A trzeba pamiętać, że osiedle „Mireckiego” jest w przeważającej części zamieszkałe przez starych, poruszających się często o lasce ludzi.

W związku z budową nowych torów kolejowych przejście zamknięto (ogrodzenie wskazuje, że na stałe) i jedyna droga wiedzie przez kładkę nad torami. Jest ona nie do pokonania przez ludzi starszych, a niebezpieczna dla wszystkich. Zbudowano pochylnię dla wózków, tylko że nawet mężczyźni mają trudności w utrzymaniu wózka na tak stromych pochylniach. Nie o mieszkankę poinformować na tablicach o niebezpieczeństwie korzystania z tego udogodnienia, i to wszystko, co wymyślono, by zaradzić przeszkodom.

Stara, przedwojenna część kładki jest znacznie zniszczona: wystające metalowe wzmocnienia i gwoździe, wykruszone deski na stopniach i kładce. Wymieniono kilka desek w miejscu, gdzie wyrwa była aż nadto widoczna, w innych miejscach, gdzie to samo się stanie za kilka tygodni nic nie zrobiono.

Przejazd powinien być jak najszybciej otwarty dla pieszych. Przejazd powinien być wyposażony w urządzenia techniczne, które umożliwiłyby sprawne działanie. Do tej pory kobiety kręciły korbką, toteż nie dziwi, że zamykano przejście na czas przejazdu kilku pociągów. Teren powinien być ogrodzony siatką. Gwarantowałoby to bezpieczeństwo.

Jeśli ktoś zdecydował się jest odpowiedzialny za to, że kładka zagrażała zdrowiu starszych osób i najmłodszych w tak ruchliwym miejscu ma jako jedyną rozwiązanie problem komunikacji, to chciałbym, aby była to prawna odpowiedzialność za życie i utrudnienie życia.

G.T.
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

SPRAWA MAŁEJ EWY — OSTATNI RAZ

Nie ustosunkowuję się do listów czytelników z Łodzi i Szczecina. Są one bowiem (jak to wynika z tekstu) jakos osobście zaangażowane w sprawę Małej Ewy.

Brak obiektywizmu zarzuca mi rzecznik prasowy Sądu Rodzinnego. Otóż — w odróżnieniu od sądu — nie jestem wcale bezstronny i nie ukrywam tego — owszem, jestem po stronie ojca Ewy, dyktuję mi to rozum i sumienie.

Dzięki listom obydwu pań i pana rzecznika mój tekst został wzbogacony o stanowisko drugiej strony. Czytelnik może sobie wyrobić własny pogląd na sprawę.

Przy okazji: starałem się nie ujawniać żadnych szczegółów, pozwalających zidentyfikować rodzinę Małej Ewy — dla jej dobra. Moi szanowni korespondenci postarali się, żeby mój kamufaż obnażyć. Szkoda.

Nie wiem, co się w moim tekście nadaje jako argument w sprawie o zniesławienie. Wiem natomiast z całą pewnością, że kłamliwa informacja o leczeniu psychiatrycznym ojca Ewy nadaje się z powodzeniem na proces o zniesławienie. Np. nadawałaby się nawet wtedy, gdyby odpowiadała prawdzie.

ANDRZEJ KAROLCZAK

PS. O to ostatnie mam zresztą (jak sądzę — także ojciec Ewy) pretensję do redakcji. Zdanie to należało z listu pań „XY” wykreślić.

OD REDAKCJI: Daliśmy możliwość wypowiedzenia się drugiej stronie tego konfliktu. Wypowiedział się teraz autor artykułu. W tej sytuacji już nie opublikujemy listów czytelników z Łodzi i Szczecina. Przede wszystkim dlatego, że nie już nowego nie wnoszą do sprawy. Na tym kończymy dyskusję o losie Małej Ewy. Oby jej tylko krzywda się nie stała!

„WYDZIEDZICZENIE”

W nawiązaniu do reportażu pt. „Wydzedziczenie”, pomieszczonego w „Odgłosach” nr 48 i 49 z 1987 r., do redakcji nadeszło obszernie wyjaśnienie, którego autorem jest Jan Starczewski — przedstawiciel drugiej ze zwalczonych stron w sprawie gospodarstwa leżącego w wsi Piaskowice pod Zgierzem. Autor zarzuca mi wypisywanie bzdur „na krawiec (?) babcia mówi, Smolarek mówi, ludzie mówią” szkalowanie człowieka oraz podawanie rzeczy nie sprawdzonych. Jak to zwykle w polityczkach rodzinnych bywa, szczególnie na gruncie wiejskim, Jan Starczewski przedstawia się jako wzorowy rolnik, który wywianoł testów i wspomagał ich finansowo, natomiast ich własny syn, Smolarek, jawi się jako dewastator i krwiopijca, synowa zaś katem, który chce utopić w studni testciową.

W związku z tym pragnę podkreślić, iż informacje do reportażu czerpałem z różnych dokumentów i z różnych źródeł, w tym z zeznań świadków, mieszkańców wsi Piaskowice, pracowników urzędów i instytucji, m.in. działaczy WK ZSL w Łodzi i GK ZSL w Aleksandrowie.

Jan Starczewski pisze: „Instytucje się denerwują, ludzie się śmieją, że taki tygodnik jak „Odgłosy” może w jednym artykule podać tyle bzdur”, po czym dodaje: „A w jaki sposób oddaje parę tysięcy litrów mleka rocznie, może kupuje w mieście i oddaje do zlewni? Tak wygląda zaniedbane gospodarstwo — największa wydajność z ha mleka na wsi Piaskowice, i jedna z większych w województwie”.

Należy jedynie załować, że zdjęcia z tego gospodarstwa nie znalazły się w „Odgłosach”. Nikt nie ma prawa podważać mnie — a sobie pana Jana Starczewskiego. Jeśli uważa się on za przodującego rolnika, który mieszkać w Zgierzu prowadzi na wsi wzorowe gospodarstwo, to daj mu Boże zdrowie, i chwała mu za to.

Nikt też nie ma prawa ujmować Janowi Starczewskiemu jego zaślub, charytatywności i zabiegów opiekuńczych wobec testciowej. Jeśli więc uwzględniłem w czymś Janowi Starczewskiemu, jeśli jakimś fałszywym słowem obraziłem go lub w czarnych barwach przedstawiłem jego działalność i szlachetne intencje, to serdecznie przepraszam.

A jeśli, jak pisze Jan Starczewski, ludzie w Piaskowicach się śmieją, to trzeba ich poczęstować Gogolem: „Z czego się śmiejecie? Sami z siebie się śmiejecie!”.

Z poważaniem
RYSZARD BINKOWSKI

TO NIE BYŁ PREZYDENT

Leszek Olejnik w artykule o Grand Hotelu popełnił drobny, ale istotny błąd. Napisał że 19 marca 1946 roku w Łodzi przebywał prezydent Josip Broz-Tito. Otóż w 1946 roku Josip Broz-Tito był tylko premierem rządu Jugosławii oraz sekretarzem generalnym KC KP Jugosławii. Prezydentem został w styczniu 1953 roku.

W latach 1945–1953 funkcję głowy państwa w Jugosławii — jako przewodniczący Prezydium Ludowego Skupstiny Jugosławii — pełnił Ivan Ribar. Zmarł w 1983 roku.

CZESŁAW ŻYLINSKI

„POLĄCZYŁA ICH RZĘKA”

W związku z artykułem pt. „Polączyła ich rzeka” (Odgłosy nr 16 z 16 kwietnia 1988 r.), Oddział Wojewódzki PZU w Łodzi wyjaśnia, że problem dot. odpowiedzialności PZU za zniszczone plony łąk i pastwisk, przez wody rzek: Ner, Olechówki, Jasienicy rolnikom w Łodzi przy ul. Chocianowickiej, nie zostanie rozwiązany tak długo jak długo nie będą zakończone prace dot. regulacji cieków wodnych w tym rejonie. Państwowy Zakład Ubezpieczeń Prawie corocznie wypłaca odszkodowania rolnikom z ul. Chocianowickiej, za zniszczone plony łąk i pastwisk.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami rozporządzenia Rady Ministrów z 21 lutego 1985 r. w sprawie ustawowego ubezpieczenia budynków oraz mienia w gospodarstwach rolnych (Dz. U. Nr 10 z 1985 r. poz. 38), za plon łąk i pastwisk uznaje się trawy zaliczane do klas I–IV normy państwowej dla siana. Obszary łąk i pastwisk, na których zaliczono siano do w/w klas, określa terenowy organ administracji państwowej o właściwości szczególnej do spraw rolnictwa stopnia podstawowego. W omawianym przypadku ustalen takich dokonuje Wydział Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Dzielnicy Łódź-Górna.

W 1987 r. wystąpiły również szkody powodzienne w trawie łąk i pastwisk położonych w dolinie rzeki Ner. Jest to teren,

gdzie łąki położone są w naturalnej niszy terenowej, a każdorazowe wylanie rzeki Ner działa wyniszczająco na trawy wchodzące w skład botaniczny siana. W tym też terenie, trawy o dużej przydatności paszowej wypierane są przez gatunki gorsze mało przydatne paszowo (trawy turzycowate i chwasty) i nie mogą być zaliczane do traw, za które PZU przysługują swoje odpowiedzialności. Odmówiono więc wypłaty odszkodowań.

Lustrację zalanych łąk w 1987 r. i określenia jakości traw dokonał V Inspektorat PZU w Łodzi wspólnie z przedstawicielem Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa dla Dzielnicy Łódź-Górna oraz reprezentantem poszkodowanych rolników. W oparciu o powyższe ustalenia V Inspektorat PZU wystąpił z wnioskiem do Dzielnicy Urzędu Łódź-Górna o wyłączenie z ubezpieczenia obszaru zalewanych łąk do czasu uregulowania wspomnianych wyżej cieków wodnych. W tym też czasie PZU nie pobierałoby składki ubezpieczeniowej za obszary tych łąk.

Urząd Dzielnicy Łódź-Górna, jako organ kompetentny do dokonywania zmian w ewidencji gruntów, nie dokonał ustaleń obszarów łąk i pastwisk w celu ich wyłączenia z ubezpieczenia, poinformował natomiast PZU, że rolnicy posłanowili płacić składkę z tytułu ubezpieczenia również i z tych użytków zielonych, na których brak jest odpowiedzialności PZU. Informujemy również, że na podobny wniosek PZU w 1978 roku, Urząd Dzielnicy dokonał takich zmian w klasyfikacji gruntów (łąk położonych w dolinie rzeki Ner) i wyłączył z użytków zielonych część terenów zabagnionych, zaliczając je do niższych klas i nie-użytków, eliminując tym samym konflikty między rolnikami a PZU.

Wyjaśniamy także, że wzmianka w omawianym artykule dotycząca wygranej sprawy sądowej o odszkodowanie, odnosi się do szkód powodzianych z lat 1977 i 1978 r., w których PZU przegrało sprawę sądową w Łodzi zasądzono odszkodowanie od Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji okręgu łódzkiego oraz od PZU, uznając, że łąki zalewane są wodą płynącą tam rzek, nie mogących pomieścić spływających ścieków miejskich i większej ilości wód opadowych.

Trwające spory i niezadowolenia rolników będą mieć miejsce tak długo, jak długo nie zostanie usunięta przyczyna ich powstawania. V Inspektorat w Łodzi jeszcze raz podejmie działania i wystąpi do Urzędu Dzielnicy Łódź-Górna w celu załatwienia tej sprawy.

mgr PAWEŁ MURAS

Z-ca Dyrektora
Oddziału Wojewódzkiego
w Łodzi

RENCISTKA PROSI O RADĘ!

Zwracam się z prośbą o taką informację, bo zwracałam się 2 razy do „Dziennika Łódzkiego” i nie dostałam do tej pory odpowiedzi. W 1987 roku we wrześniu złożyłam do PGM podanie o wymianę kuchni w moim mieszkaniu. Często czytałam, że o ile administracja nie podoła do końca roku, załatwi wszystkich podał, to nawet po tym terminie będzie wymieniała kuchnie bezpłatnie na te podania, które były złożone w 1987 roku. Tymczasem teraz zażądano ode mnie opłaty 16 tys. 100 zł. Nie wiem, dlaczego? Dla mnie, starej i samotnej rencistki jest to duży wydatek, gdyż moja renta wynosi 18 tys. 600 zł. Kuchnię, którą posiadam, kupiłam za własne pieniądze, bo nie wiedziałam, że to należy do administracji. Po wyrzuceniu dowodu zakupu nie rościłam pretensji, bo nie miałam dowodu zakupu.

J.D.
(adres i nazwisko do wiadomości redakcji)

TELEFON: 36-77-70

Odpowiadając na notatkę prasową zamieszczoną w „Odgłosach” z dn. 7.05.88 r. w rubryce „Temat dla reportera — tel. 36-77-70” dotyczącą niezadowolenia Jerzego Stasiaka z niewłaściwego zachowania Cygana przed Urzędem Stanu Cywilnego Łódź-Bałuty, uprzejmie informuję, że incydent, którego świadkiem był Jerzy Stasiak, był pierwszym przypadkiem, który dotarł do mojej wiadomości. Dotychczasowa obecność Cygana przed Urzędem była tolerowana, ponieważ niektórzy nowożeńcy uważają, że napotkany Cygan przyniesie im w przyszłości szczęście. W obecności pracowników tutejszego Urzędu Cygan zachowywał się właściwie (jednakże jak się okazało były to tylko pozory). Nie chcąc dopuścić do powtórzenia się podobnego incydentu Cygan został usunięty sprzed lokalu Urzędu Stanu Cywilnego.

W chwili obecnej Cygan nie przebywa przed lokalem USC-Bałuty, jak również nie będzie przebywał w przyszłości, o czym zapewniam nie tylko Jerzego Stasiaka.

mgr ANDRZEJ GORCZYCA
(Kierownik USC-Bałuty)

REDAKCJA — CZYTELNICY

FAN-CLUB KRYSZTOF GIZOWSKIEJ, Wiskitno. Być może znów Dyżurny Czytelnik uzna to za marnotrawstwo, ale nie mogę powstrzymać się przed uwagą, że skoro wysłała się list do redakcji, to trzeba przynajmniej w bibliotece czytać pismo przez tę redakcję prowadzone. Odpowiedzieliśmy bowiem już na łamach „Odgłosów”, że o Krystynie Gizowskiej publikowaliśmy niedawno duży artykuł — była to właściwie z nią rozmowa — i nie planujemy w najbliższym czasie powrotu do tematu. Pozdrawiamy.

TADEUSZ TYKACZ, Łódź. Każdy z nas pozostaje przy swoim. Nie ma więc warunków do porozumienia, gdyż niby rozmawiać chcemy na określony temat, a przecież każdy z nas mówi o czym innym. Może pan myśleć i posadzać Redaktora Dyżurnego o co pan sobie tylko życzy. To pana prawo. W niczym to jednak nie zmienia faktu, że czym innym jest krytyczna ocena twórczości oparta na faktach, jej analizie, poparta argumentami, czym innym — pańska opinia. Można Jerzemu Wilmańskiemu zarzucić, że dokonał tendencyjnego wyboru z twórczości Antoniego Słonimskiego. Tylko trzeba to udowodnić, właśnie posługując się faktami. Zastępowanie ich wymysłami nie ma nic wspólnego z rzetelną polemiką. I to wszystko! Do tematu już nie powrócimy.

TADEUSZ K. Ręczno. Przepraszamy za to, że list się nieco przeleżał. Po prostu czekał swojej kolejki w rubryce „Redakcja — Czytelnicy”, gdyż do druku nie nadaje się. Nie oceniamy bowiem pisarzy na podstawie ich wyglądu i tego, jak pana ojciec określał „chłopów-niedoradów”. Od bardzo dawna przywykło się ich oceniać na podstawie tego, co piszą. Nie wszyscy muszą się tym naturalnie zachwycać. Ale tak się dziwnie składa, że odsądzany od czci i wiary przez pana pisarz zbiera nagrody, a jego książki biją rekordowe nakłady.

REDAKTOR DYŻURNY



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:
23 czerwca — ANDRZEJ MAKOWIECKI —
godz. 10—16.

30 czerwca — RYSZARD BINKOWSKI —
godz. 10—16.

Wśród spraw, z którymi zwracają się do nas czytelnicy, najczęściej dochodzą do głosu rozmaite rodzaje bolączki lokatorskiej. I tak np.

Pan Leon Kołodziejczyk, zamieszkały przy Piotrkowskiej 141, występował już wraz z innymi lokatorami do różnych urzędów i instytucji o to, by w przeprowadzanym od 1978 r. wielkim remoncie ulicy Piotrkowskiej uwzględniono również ich wiekową kamienicę, zamieszkaną przez 12 rodzin i 17 osób samotnych. Brak tu jest wszystkich podstawowych urządzeń, a do WC trzeba biegać w podwórzu. Wydaje nam się jednak, że w obecnej sytuacji najwęższą i najpilniejszą sprawą byłoby jednoznaczne poinformowanie lokatorów czy dom będzie rozbierany i w jakim przewidywanym terminie.

Pan Jerzy Banaszak, który mieszka przy ul. Wojska Polskiego 112 w starej kamienicy, wóchnięci pomiędzy nowoczesne bloki, pozbawionej gazu, CO i WC skarży się, że w istniejącym tam sklepie spożywczym sprzedaje się piwo, co sprzyja przekształceniu się klatki schodowej w publiczny bismar (z innych źródeł donoszą nam o istnieniu w kamienicy meliny pijackiej). Pan J.B. zapewnia nas, że wraz z innymi wielokrotnie interweniował zarówno w prasie, jak i w ROM nr 13 przy ul. Przemysłowej.

Z podobnymi sprawami zgłosiła się też mieszkanka jednego z bloków osiedla Mireckiego przy al. Unii (nazwisko znane redakcji), która ponownie, tym razem za naszym pośrednictwem, pragnie zaalarmować Wydz. Gosp. Mieszkaniowej Łódź-Polecie, że coraz bardziej wzrasta niebezpieczeństwo dla zdrowia i życia przechodniów z powodu spadających na chodniki tynków balkonowych.

Skarga pana Stanisława Kośby z Mazurskiej 44 dotyczy pozbawienia lokatorów domu pralni. A doszło do tego tak, że w grudniu ub. r. gospodarz budynku udostępnił odnawiałym klatki schodowe malarzom wzmiankowaną pralnię, czego podobno nie miał prawa uczynić. Dzielnicy rzemieślnicy, odczuwając widocznie nie dość szeroki front robót, a pragnąc wywodzić nagromadzoną w chwilach relaksu energię, zdemolowali do szczętu w okresie do lutego br. wspomniane pomieszczenie. Lokatorzy poczekałi trochę na odnowienie pralni i już w maju pierwszy śniadkowiec utawnił chęć korzystania z pomieszczenia, gospodarz domu załatwił jednak odmownie te fanaberie i dopiero dyrektor PGM na skargę mieszkańców przysłał człowieka, który przyrzekł się pralni krytycznie i zażądał od lokatorów podpisania karty stwierdzającej, że był i robił, czego mu jednak odmówiono. Uporczywa walka o odzyskanie dostępu do pralni trwa już 7 miesięcy, co oczywiście wydaje się okresem zbyt długim.

Telefonowano też do nas w sprawach mniej typowych. I tak np. pan Wacław Wróblewski z Grunwaldzkiej 41 b, kiedy po miesięcznej nieobecności powrócił z wczasów, zastał piękny pokój wazji rosnącego przy osrodku, ale na terenie tego posesji, w stanie zamierania. Były ślady wskazujące, iż ktoś podkopał się na zewnątrz do korzeni drzewa i nalał trującej substancji, o co pan W.W. posadza jedną z lokatorek pobliskiego domu, która skarżyła się, że drzewo zaciemnia jej okna. No cóż — nie było świadków, a drzewa żal. Moral? Nie jesteśmy przyrody!

Wysłuchaliśmy też skarg pewnej pani z Retkini, która podejrzewa lokatorów z góry, którzy coś tam w swoim mieszkaniu wytwarzają, że mimo woli lub rozmyślnie zatrują powietrze w tej mieszkaniu takimiś przenikającymi parami chemicznymi. Kogo można wezwać, żeby zbadał czystość powietrza? — zapytała nas nasza rozmówczyni. Redaktor dzworny doradził SANEPID. Ale może jest jeszcze jakaś specjalna placówka i nas o tym powiadomi...

Pani E.K. z ulicy Zgierskiej zwróciła naszą uwagę na znajdujący się przy tej ulicy ogródek jordanowski, zdewastowany, zaśmiecony, pozbawiony lawek usianych potłuczonymi butelkami, z którego obfite i dorodne zieleni nie można w tym stanie rzeczy korzystać. Ogródek ten wprawdzie ogrodzony (jak sama nazwa wskazuje), ale nie zamknięty i może zamknięcie go na noc odmieńtoby to skandaliczna sytuacja. Może nowa rada coś zaradzi (jak sam nazwa wskazuje).

Pan D. (nazwisko znane redakcji) stwierdza, iż przy przycinaniu pielęgnacyjnym drzew na ul. Zachodniej pozostawiono tu i ówdzie drzewa uschnięte lub galezie nadające się tylko do wyćcia. To co nam pan D. powiedział o opłacie za wodę i samochodach zastępuje na osobne omówienie, co też uczynimy.

Pracownik „Lenory”. Poruszane przez pana sprawy wymagają z naszej strony rozważnego i odpowiedzialnego namysłu.

Młody pracujący (nazwisko znane redakcji) z ulicy Miechowskiej uskarża się, że w najbliższej okolicy spada niepokojąco liczba sklepów i innych punktów sprzedaży najpotrzebniejszych artykułów codziennego użytku, a pozostałe placówki sprzedaży są już zamknięte w czasie, kiedy większość ludzi wraca z pracy. Dotyczy to nawet urzędu pocztowego, otwartego okresowo i zwykle do wczesnego popołudnia.

JERZY KWIECIŃSKI

Wojtek Małeki — uczeń VIII klasy Szkoły Podstawowej nr 29 w Łodzi, zamierza kontynuować naukę w liceum ogólnokształcącym. Na co dzień interesuje się sportem i muzyką, przewodniczący Kapituły Dziecięcej.

Kasia Janowska — uczennica VIII klasy Szkoły Podstawowej nr 14 w Pabianicach. Interesuje się przedmiotami ścisłymi, muzyką i sportem. Po ukończeniu szkoły podstawowej zamierza iść do liceum ogólnokształcącego, zastępcza przewodniczącej Kapituły Dziecięcej.

Sylwia Redlicka — uczennica VII klasy Szkoły Podstawowej nr 81 w Łodzi. Interesuje się przede wszystkim literaturą i historią, sekretarz Kapituły Dziecięcej.

1 czerwca 1988 r. pod Pomnikiem Pekinietego Serca w Parku Promienistych po raz pierwszy Łódzkie dzieci wręczyły medale „Serce Dziecku” dorosłym jako wyraz szczególnego uznania za miłość i poświęcenie w pracy z dziećmi. Medal przyznaje Kapituła Dziecięca powoływana na jeden rok z 11 reprezentantów różnych dziedzin środowisk (szkół, TPD, ZHP, klubów i ognisk kulturalnych i sportowych). Występującymi z wnioskami o przyznanie tego medalu są same dzieci. Dziesięć medali „Serce Dziecku” będzie wręczanych tylko raz w roku, właśnie w Dniu Dziecka.

W 1988 roku Kapituła Dziecięca wręczyła medale: Jackowi Gołczyńskiemu, Andrzejowi Gawrylukowi, Krystynie Grębiewicz, Mirosławowi Kalisiak, Hannie Miecznikowskiej, Teresie Pajszczyk-Kieszkiewicz, Markowi Szymańskiemu, Anieli Włodarczyk, Helenie Lewando-

wskiej, Danucie Mańkowskiej. Nagrodzeni są z różnych dziedzin życia codziennego. Nie są to tylko nauczyciele i opiekunowie świetlic. Wśród nich są także inżynierowie, lekarze. W gronie tym jest jeden zakonnik. Jednak wszystkich łączy sprawa niesienia radości dziecku. „Bardzo lubimy nasze spotkania w bibliotece. Chętnie słu-

legać na tym, że chcieliśmy przyznać medale najlepszym, gdy tymczasem naszym zdaniem wszyscy byli najlepsi.

„W pracy swej wykazała zawsze bardzo zaangażowaną postawę społeczną oraz cechowała ją serdeczny stosunek do wszystkich spraw dotyczących troski o dziecko. Była inicjatorką

chwili do naszej Kapituły wpłynęły wnioski z innych województw.

Kasia Janowska: — Niestety, my nie mogliśmy ich uznać, ponieważ regulamin przewiduje tylko wnioski z województwa łódzkiego.

„Druha Hanna Miecznikowska to osoba, która zawsze na pierwszym miejscu stawia pomoc drugiemu człowiekowi i służbę dziecku. Szanujemy ją i podziwiamy my harcerki z 18 ŁDH za to, że zawsze potrafi, pomimo swych licznych obowiązków, znaleźć czas dla nas”.

Sylwia Redlicka: — Wchodząc w skład Kapituły nie wiedziałam, że poznam tylu ciekawych ludzi, ludzi, którzy całym życiem poświęcają się dzieciom.

Kasia Janowska: — Medal „Serce Dziecku” jest wyrazem szczególnego uznania za poświęcenie w pracy z dziećmi, a jest to praca na pewno ciężka. Wymaga dużej ilości czasu i cierpliwości.

Wojtek Małeki: — Jesteśmy bardzo zadowoleni z tego, że możemy spotkać się, aby podziękować dorosłym za dużo serca i czasu poświęcanego dzieciom, często dzieciom niepełnosprawnym. Cieszymy się z tego, że możemy podziękować im za to, wręczając medale.

„Pani ordynator jest miła, dobra i wyrozumiała. Często z nami rozmawia o naszych kłopotach i troskach. Nawet wtedy, kiedy kłócimy się między sobą, potrafi nas pogodzić. Opiekuje się nami jak swoimi dziećmi. Jak mama stara się, aby nam wszystkim było dobrze”.

EWA LACHOWSKA

Dzieci dają medale dorosłym.

Serce dziecku

chamy ciekawie przygotowanych pogadanek, które są bogato ilustrowane albumami, przezroczami i ilustracjami. Bierzymy aktywny udział w pracach na rzecz świetlicy i biblioteki. Robimy to z chęcią, gdyż bardzo pania Danusię kochamy”.

— Kandydatów było dużo, wy mogliście wybrać tylko dziesięć nazwisk. Wybór więc był bardzo trudny.

Wojtek Małeki: — Tak. Wybór był naprawdę bardzo trudny. Wiele kandydatów było zasłużonych w tych samych dziedzinach, co jeszcze bardziej utrudniało sprawę. Staraliśmy się rozstrzygnąć to na podstawie opinii dzieci.

Sylwia Redlicka: — Było to bardzo trudne zadanie, ale dałmy sobie jakoś radę. Proszę mi wierzyć, że na co dzień nie wiadciliście ludzi poświęcających się dzieciom. I właśnie teraz, po rozpatrzeniu 29 wniosków, bardzo przybliżyli się nam obraz tych ludzi. Trudność wyboru po-

zorganizowania oddziału rehabilitacyjnego (...) dla dzieci niepełnosprawnych. Dzięki temu nasze dzieci znalazły tam odpowiednie warunki i fachową opiekę pielęgnacyjno-rehabilitacyjną, umożliwiającą częściowe, a nawet całkowite odzyskanie sprawności fizycznej i psychicznej”.

— Czy będziecie sugerować zwiększenie liczby przyznawanych przez Kapitułę Dziecięcą medali?

Sylwia Redlicka: — Chcielibyśmy.

Wojtek Małeki: — Sądzę, że to zależy od ilości kandydatów, które napłyną w przyszłym roku do Kapituły.

Kasia Janowska: — Wybór do medalu „Serce Dziecku” jest w tej chwili możliwy tylko w naszym województwie. Mynamyśmy chcieliśmy tę ideę rozprzecznić w innych województwach.

Sylwia Redlicka: — Już w tej

200 lat temu nad Pińczowem wzniósł się balon.

Gdy człowiek oderwał się od ziemi

Początek roku szkolnego 1784, czyli przed ponad 200 laty, dla uczniów — żaków jak ich wówczas nazywano — w Pińczowie był niecodzienny. Dzień rozpoczęcia nauki został uświetniony wzlotem balonu. Świadczyło to o tym, iż w świetnych wówczas szkołach Pińczowa dotrzymywano kroku rozwojowi nauki w Polsce i na świecie, szczególnie nauk przyrodniczych i nie stracono tam od doświadczeń fizycznych.

Jakie były początki „balonowego szaleństwa”?

Zaczęło się we Francji, 5 czerwca 1783 roku w francuskim miasteczku Annonay, leżącym w dolinie Rodanu, uniósł się w powietrze pierwszy w dziejach balon napęczniony ogrzanym powietrzem, zbudowany przez braci Josepha i Jacques’a — Etienne Montgolfier.

Firma Montgolfier (nb. prosperująca do dziś we Francji jako Cansond Montgolfier) produkowała w Annonay papier i jak przystało na fabrykantów papieru ich balon sporządzony był z papieru i płótna. Do polaczenia papieru z płótnem użyli 1800 guzików. Nadali mu imię „Ad Astra” (Ku Gwiazdom) lecz popularnie uzyskał inną nazwę — „bania”. „Bania” miała średnicę 35 stóp (prawie 11 m) a ogrzane powietrze wewnątrz utrzymywano w wyniku spalania słomy. Balon osiągnął wysokość 2900 m ponad poziom startu, utrzymywał się prawie 10 minut w powietrzu i wolno opadł w odległości około 1800 m od miejsca startu. Wiadomość o takim niecodziennym wydarzeniu rozszalała się daleko.

19 września 1783 roku na życzenie króla Ludwika XVI i Akademii Nauk doświadczenie zostało powtórzone w Wersalu w obecności króla, królowej, dworu, uczonych i wielu tysięcy widzów, wśród których znajdował się Benjamin Franklin, wówczas poseł Stanów Zjednoczonych w Paryżu. Doświadczenie również się udało a na dodatek jeszcze balon ów uniósł pierwszych pasażerów: kaczkę, koguta i barana.

Fizyk francuski Jacques Charles (1746—1823) 27 sierpnia 1783 roku wypuścił balon wypełniony wodorem zamkniętym w szczelnej kuli z odpowiednio impregnowanej tkaniny jedwabnej. Tak powstały dwa odrębne rodzaje balonów i dziś zwane „montgolfierami” i „szarlierami”, oba rodzaje miały zalety i wad.

21 listopada 1783 roku Pilatre de Rozier — profesor chemii w Ateneum Królewskim — wraz z pasażerem, majorem piechoty F. Laurent d’Arlandes wznosił się po raz pierwszy w historii balonem wolnym w koszu wiklinowym o wymiarach 1x1 m na wysokość około 1000 m i odbywał 26-minutowy lot nad Paryżem. W 10 dni potem, 1 grudnia 1783 r. J. Charles i jego młody pomocnik Robert (też fizyk) sa gotowi do lotu swoim balonem — droką do rekordów aeronautycznych została otwarta. Wzniesli się na wysokość około 3000 m, utrzymywali w powietrzu przez 125 minut. W gondoli balonu znajdował się barometr — mierzył ciśnienie powietrza a pośrednio wysokość wznoszenia.

Polska roku 1784 wysuwa się na czołową pozycję w tej dziedzinie tak pod względem ilości jak i jakości prób ustępując tylko Francji, a wyprzedzając poważnie Anglię, Włochy i Niderlandy. Zainteresowanie wykazywał dwór królewski i sfery naukowe i pospólstwo masowo przybywające na pokazy. Pierwszą próbą wypuszczenia balonu w Warszawie przez nadwornego królewskiego chemika i mineraloga Stanisława Samuela Okraszewskiego miała miejsce w obecności króla Stanisława Augusta Poniatowskiego 12 lutego 1784 roku, to znaczy w 8 miesięcy po eksperymencie braci Montgolfier.

Stanisław S. Okraszewski napelniał balon wodorem.

Balon miał średnicę 94 cm, był na uwięzi, wzniósł się na wysokość 180 m i pozostawał w powietrzu zaledwie 3 minuty, ale wówczas było to dość poważne osiągnięcie. Po niepełnym miesiącu Stanisław S. Okraszewski przeprowadził pokaz z udziałem szerokiej publiczności. Balon wleciał, po 22 minutach stracono go z oczu, a spadł na ziemię w odległości ponad 20 km od miejsca startu. Król udekorował go złotym medalem.

1 kwietnia 1784 roku w Krakowie z Ogrodu Botanicznego wypuszczony został balon „montgolfiera”, osiągnął wysokość około 4000 m i pozostawał w powietrzu przez prawie pół godziny.

ny, był widoczny w odległych okolicach Krakowa, w Wieliczce, Opadł wolno obok murów miejskich Krakowa blisko Bramy Floriańskiej. Ową ekspedycję był przeprowadzony przez profesorów krakowskich na czele z Janem Jaśkiewiczem — prezesem kolegium fizycznego UJ oraz matematykiem, astronomem i filozofem Janem Śniadeckim. Mimo sukcesu dalszych prób zaniechano z przyczyn i dziś aktualnych przyczyn — braku funduszy.

W Kamieńcu Podlaskim rektor tamtejszych szkół, a zarazem profesor fizyki Kasprowicz zbudował na koszt generała Jana de Witte balon z papieru, który osiągnął wysokość 240 m i następnie opadł na skutek peknienia powłoki. We Lwowie Herman i Martinowicz wstąpił w powietrze balon 4 marca 1784 roku. We wrześniu roku 1786 nadworny lekarz Żelichowski wypuścił pomyślnie „montgolfiere” w Czechniku, w woj. bractwskim w dobrach Księcia Józefa Lubomirskiego. Zaś w Pińczowie — jak wspomnieliśmy — wypuszczono balon na uroczystości inauguracji roku szkolnego.

W roku 1784 ukazały się w Polsce dwie fundamentalne książki na temat lotów balonowych: Józefa Osńskiego w Warszawie: „Robota maszyny powietrznej pana Montgolfier” i „Gatunki powietrza” oraz Jana Jaśkiewicza — „Kuli Aerostatecznej różnych aż dotąd doświadczeń opis ostateczny”. Książki Józefa Hermana Osńskiego (1746—1802) z zakresu pijarów, fizyk, autor wielu naukowych publikacji m.in. „Fizyka doświadczeniem stwierdzona”, był pierwszym w świecie propagatorem idei wykorzystania balonów do sporządzania map kartograficznych. Zaś Jan Śniadecki trafnie przecież przewidywał przyszła wielka rola balonów w służbie meteorologii. Najpowszechniej wiązano z balonami nadzienie komunikacyjno-transportowe i militarne. Zaczęło je realizować w zakresie obserwacji już w 1794 roku, zaś pierwszych nalotów bombowych dokonano w 1849 roku.

7 stycznia 1785 roku Francuz Pierre Blanchard z Amerykaninem Jeffriesem dokonali nie lada wyczynu.

Przelecieli balonem nad kanałem La Manche.

Blanchard zresztą był jedną z najpopularniejszych postaci wśród ówczesnych baloniarzy. Odbył długie tournée po Europie. Dopiero jednak w 1789 roku Warszawa ujrzała lot balonem z załogą. To Pierre Blanchard w towarzystwie „pewnej francuskiej damy” (późniejszej pani Blanchard) 10 maja wzniósł się w przestworza z ogrodu Foksal, Balon napęczniony wodorem. Po trzech kwadransach lotu wylądował w Białejce za Wisłą. 13 maja Pierre Blanchard demonstrował działanie najnowszego wynalazku w dziedzinie aeronautyki: spadochronu — zwanego wówczas z francuska parasutem. Pierwszym spadochroniarzem był siedzący w koszyku pies. W 1790 roku Pierre Blanchard ponownie odbył podróż powietrzną w Warszawie, tym razem w towarzystwie znanego podróżnika, naukowca i pisarza, autora m.in. słynnej powieści „Rekopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego. Towarzyszyli im służący hrabiego, stukłowy Turek oraz biały pudel. Były to jedne w Polsce loty balonów z załogą.

Nie można przecież poważnie traktować „pierwszego polskiego aeronauty — kota Filusia”, który wleciał w balonie sporządzonym przez „Towarzystwo Balonowe” pod patronatem księżniczki Marii w Puławach, siedzibie Czartoryskich. Dla kota lot skończył się tragicznie — zginął, gdy balon wpadł na drzewo. Dzięki Franciszkowi Dionizemu Książkiewiczowi, który napisał „poemę w X pieśniach” pod tytułem „Balon”, przetrwał półzartobliwy opis owej magnackiej imprezy.

Stanisław Trembecki, szambelan króla Stasia, zaproponował rozwiązanie ważnego problemu sterowania balonem przy pomocy magnesu. Niestety pomysł był chybotliwy.

Wynalazek balonu i pierwsze próby opanowania przestrzeni powietrznej spowodowały duże zainteresowanie dość szerokich kręgów ówczesnego społeczeństwa, stały się ulubionym tematem wypowiedzi, artykułów czy wierszy, choćby takich jak ten w „Gazecie Warszawskiej”:

„Ginał człek wprzód na ziemi, chciał ginał i w wodzie,
Ginał i na powietrzu jest już teraz to modzie.
Dość nas w jednym gineło teraz, a my przecie
Dobraliśmy na pospiech i drugie i trzecie...”

Wkrótcebow wierszyk doczekał się riposty:
„Darmo gnuśni chcą ścieśnić dowcipy wyborne:
Darmo by chcieli wtrącić świat w chaos niesforne,
Handel morski sprzegł ludzi szerszymi ogniwami:
Wydoskonalcie Balon, wezmą koniec dziwy”.

Balony stanowiły nie tylko rozrywkę, ale stały się olbrzymią rewelacją w technice, nauce i ówczesnej cywilizacji. Uczestniczyła chyląca się ku upadkowi Rzeczpospolita wcale aktywnie w owych pionierskich próbach opanowania przestrzeni w nurcie światowej nauki i techniki.

MIROSLAW ZBIGNIEW WOJALSKI

Siadałam przed telewizorem więcej z obowiązku niż dla przyjemności. Piłka nożna w wykonaniu polskich piłkarzy prezentuje się fatalnie i tak mnie zdziwiła, że cała byłam do niej w niechęci. Ale mistrzostwa Europy w piłce nożnej przyjemnie mnie zaskoczyły. To było piękne. Każdy mecz inny. Inne precyzji, polotu, zapachu, ambicji, techniki można zobaczyć na małym ekranie przez te kilka wieczorów. Odnalazłam w sobie znów miłość do piłki nożnej. I pewnie nie tylko ja.

Uroczystość otwarcia mistrzostw Europy „Euro'88” w RFN, o której Kazimierz Górski powiedział dyplomatycznie, że „mogła się podobać”, była ładna, choć ze sportem mało miała wspólnego. Organizatorzy jednak dają do tego, aby to było święto nie tylko dla piłkarzy i ich kibiców, ale aby to był ogólny festiwal, festyn czy jak to tam jeszcze można nazwać. I chyba im się to udało. Z wyjątkiem występów kibiców rodzimych i brytyjskich.

My mamy utrwalać stereotyp o Anglikach, jako flegmatykach. Mówi się przecież „angielska flegma”. Zapytałam pewnego znajomego, który około 20 lat spędził w Anglii, skąd u Anglików taka agresja. — Jak to? — zdziwił się mój znajomy — a kto podbijał świat, kto awanturował się na wszystkich niemal kontynentach? Anglik — to urodzeni awanturnicy! — Wygląda na to, że tak jest w istocie. Biedna pani Margaret Thatcher, jakże tej Lady musi być wstyd za swoich awanturowanych się rodaków.

Mnie natomiast było żal, że polskie dzieci nie zaśpiewały na stadionie w Duesseldorfie. A przecież mamy i piękne piosenki, i pełne uroku dziecięce zespoły. Nie zaśpiewały dlatego, że nasi piłkarze nie potrafili wyszkoleniem, zapalem, ambicją i umiejętnością dorównać innym.

Gdy tak zachwycam się piłką nożną, nadszedł do redakcji list od Kazimierza J. z jednej z podlódzkich miejscowości. Autor tego listu tak uroczo pisze o mnie:

„Redaktor Bogda Madej chyba — za przeproszeniem — starzeje się, bo z rzeczowej, obiektywnej redaktorskiej prehistorii się w zgnębiającą zrzęda. Niechód do trenera Lazarka przerodziła się w zacieklą nienawiść, ostatnio cieżki zbiera trener Szurkowski, dostaje się od czasu do czasu Jezerskiemu, a nawet pobożne życzenia dla Kazimierza Górskiego już jako li tylko działacza, nie pozbawione sarkazmu i uszczypliwości. Tak jakby winę za upadek polskiego sportu ponosili wyłącznie trenerzy i to akurat ci lepi. Przecież upadek polskiej piłki nożnej nie spowodował Lazarek, kolarstwa Szurkowski, a hokeja Lejczyk. Dostaje się po głowie i tym mniej znanym trenerom. Dziwna awersja.”

Dziękuję za tę analizę mojego charakteru. Starzeję się — nieświsty — wszyscy. Kazimierz J. również. Jest to naturalne i trzeba to przyjmować naturalnie. Może i zrzęda. Ale na pewno nie gnuśnie.

Sport

Dlaczego nas tam nie było?

Kazimierz J. swego obszernego listu nie napisał jednak w obronie Wojciecha Lazarka czy Leszka Jezerskiego, ale na skutek mego felietonu pt. „Podobizna trenera grubą krechą rysowana”. Kazimierzowi J. wydaje się że rozszyfrował o kogo chodzi. Pisze o konkretnym klubie i trenerze. Nieświsty. Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. Mogę jedynie zwrócić uwagę autora listu na fakt, że metody stosowane przez trenera, którego krytykowali rozmówcy z mego felietonu, są mało skuteczne. I jeszcze jedno. Nie jest to jedyny przypadek. Niedawno w krakowskim „Temple” ukazał się artykuł Zbigniewa Wojciechowskiego „Nie mów wole, co się dzieje w szkole” o podobnej sprawie. Dotyczy on — Zbigniew Wojciechowski operuje nazwą szkoły i nazwiskami — Szkoły Podstawowej nr 173 w Łodzi, specjalizującej się w pływaniu. Uczniowie tej szkoły byli tak zmęczeni treningami, że uciekali od sportu po wyjściu ze szkoły. A więc nie pierwszy i nie ostatni taki przypadek. Dlatego nadal uważam, że działacze powinni się zastanawiać nad wypowiedziami i skargami młodych zawodników, gdyż inaczej sportu w Polsce nie odrodzimy.

Co do winy trenerów. Posłużyć się cytatem z felietonu Janusza Atlasa, też z krakowskiego „Templa”.

„Powtarzam po raz nie wiadomo który — pisze Janusz Atlas — Lazarek nie jest winien klęsce w polskim futbolu! Ale on, i tylko on, jest winien kompletnej degeneracji w kadry narodowej! Ta drużyna nie nadaje się do niczego! Jest żadna. Następca Lazarka nie dokona żadnego cudu, ale może (musi!) odbudować coś ułotnego, jako wiara we własne talenty”.

Nie mam nic przeciwko Wojciechowi Lazarkowi, nie żywię wobec niego żadnych uczuć, a więc i nienawiści, ale kiedy publicznie opowiada coś takiego, że „Polacy wygrali z Irlandią drugą połowę meczu”, który cały przegrali, to trudno mi nie śmiać się z tego. Bardzo szanuję Kazimierza Górskiego, ale trudno mi milczeć, gdy daje się „wpuścić w maliny”. Ale już cieszę mnie na przykład fakt, że Jacek Gmoch doprowadził drużynę z Larisy w Grecji do mistrzowskiego tytułu, co nie znaczy, że można mu odpisać błędy, jakie popełnił w prowadzeniu reprezentacji Polski w piłce nożnej.

Trudno udawać, że nic się nie dzieje w kolanach złego, kiedy optymistycznym zapowiedziom Ryżarda Szurkowskiego towarzyszą pesymistyczne fakty. Po latach sukcesów, z jego zresztą udziałem, pozostały tylko piękne wspomnienia. Na wspomnieniach nie zbuduje się podstaw sukcesu w żadnej ze sportowych dyscyplin ani nigdzie indziej.

Pewnie, że nie trenerzy są winni upadku polskiego sportu, ale oni ten upadek firmują swoimi nazwiskami. Kiedy Anglię wróciła do siebie z „Euro'88” to nie piłkarze będą przede wszystkim krytykowanymi, ale ich trener — Bobby Robson. I kto wie, czy posiada nie zapłaci za ten nieudany występ angielskich piłkarzy w RFN. A my wcale nie mamy się z czego cieszyć i rąk zacierać, bo porażka Anglii w RFN musi doprowadzić do zmiany sposobu przygotowań. I to znów nas może zaskoczyć. Niemile. Ale niech już o to boli głowa trenerów.

Z podziwem oglądałam występ Irlandczyków. Chyba to Andrzej Zygorowicz powiedział, że „czarny koń mistrzostw Europy jest zielony”. A może powiedział to Dariusz Szpakowski. Mniejsza o to. Mnie występ Irlandii przypomniał występ Polaków, też przecież w RFN, choć to były mistrzostwa świata. Nikt nam nie dawał żadnych szans, a Polacy zdobyli trzecie miejsce. Polska piłka nożna zaczęła się liczyć na świecie. Kiedyś. Szkoda, że teraz nie liczymy się choć w Europie.

Nie będę pisała o występach innych drużyn, bo każdy kto chciał mógł to widzieć. W środę, gdy ukaże się „Odgłosy” będziemy już wiedzieli — wieczorem — kto zagra w finale „Euro'88”. W sobotę będzie już po wszystkim. I tak „Euro'88” przejdzie do historii.

Ala jeszcze o jednym trzeba wspomnieć. Dokonuje się coś nowego w sposobie sprawozdawania meczów piłkarskich w polskiej telewizji. Pojawienie się przed kamerami telewizyjnymi Jana Tomaszewskiego, Zbigniewa Bońka, a teraz przed mikrofonem Włodzimierza Lubańskiego powoduje inny sposób patrzenia na mecz przez telewizora i... sprawozdawcę. Już teraz nie wystarczy mówić, kto jest przy piłce, bo to widać. Włodzimierz Lubański wyjaśnia, dlaczego stało się tak a nie inaczej, co się może jeszcze zdarzyć, w jakim kierunku może pójść rozwój akcji na boisku. To zupełnie co innego — to już komentarz!

BOGDA MADEJ

1

Lewym okiem

2

Rozszerzyć asortyment znaków

Jak wiadomo, nikt dzisiaj nie przemawia w ścisłym tego słowa znaczeniu, każdy — wychodząc na mównicę — wygłasza z bocznej kieszeni marynarki kartkę i czyta. Na dobrą sprawę, takie niby przemówienie można by powielić na kopiarce. I rozosiłać ludziom, niechby sobie poczytali w domu; od razu odpadłaby konieczność organizowania dziesiątków tysięcy zebrań, narad i konferencji. Koszty zaoszczędzone tym sposobem stanowiłyby bardzo poważną kwotę, która można by przeznaczyć na jeszcze jakiś pomnik.

W tej chwili chodzi jednak o coś innego. Skoro mówca nie mówi, lecz czyta, odpada potrzeba umiejętności przemawiania, ale pozostaje konieczność umiejętności czytania. Oczywiście — ponieważ przezwyciężenie jest tak, że ktoś inny pisze kartkę, a kto inny ją odczytuje — przeto pierwszym warunkiem dobrego przemówienia jest czytelny charakter pisma tego, co pisze, albo lepiej czytelny maszynopis. Ale to nie wystarczy. Trzeba koniecznie pomóc mówcy, żeby odczytywać wiedział tak intonować przekazywany słuchaczom tekst: kiedy się oburzyć, kiedy śmiać, kiedy przerwać czytanie, kiedy zawiesić głos, kiedy grzmieć jak Piotr Skarga. Inaczej mówiąc, realia dzisiejszego życia publicznego uświadniły konieczność znacznego rozszerzenia asortymentu stosowanych znaków przestankowych. Dziesięć klasycznych znaków: kropka, przecinek, dwukropki i tak dalej — tuż nie wystarcza. Kropka oznacza, że skończyło się zdanie, ale skąd czytelnik ma wiedzieć, czy było to zdanie wesołe czy smutne, czy pełne grozy, czy może tak zwane „gajace do myślenia”? Takie niuanse trzeba koniecznie „mówcy” podpowiedzieć.

Na początek, w dobrze rozumianym interesie, nawet własnym, bo i mnie może się zdarzyć kiedyś wystąpienie w roli mówcy na nie dał Boże, naradzie robotczej, przedkładam poniżej parę propozycji.

Mówi się, że dziecko, kiedy płacze, układa buzie w podkówkę, tak więc podkówkę z końcami w dół umieszcmy na końcu zdania, zamiast kropki. Kiedy zdanie zawiera treść smutną. Kiedy chcemy słuchaczy dosmucić. Takie zdanie wypowiedziane następnym tonem przemawiania nadgrobkowego, pozwoli przeciągać poszczególne sylaby. Podkówka z końcami w górę to oczywiście nastroj odwrótny, sama radość. Głos mówcy w tym miejscu powinien krzusić się ukrytym śmiechem, jak głos pewnego redaktora radiowej „rozmawiaj” w „Muzycy i Aktualnościach” z Zygmuntem Kalużyńskim. Inny znak, stanowiący zresztą nie mój wynalazek, lecz samego Tadeusza Boya-Zeleńskiego, to perskie oczko. Perskie oczko oznacza, że sąsiadujące z nim słowa należy rozumieć odwrótnie, przekrotnie, z przymrużeniem oka. To już nie jest łatwa sztuka tak powiedzieć jakąś kwestię, żeby słuchacz zrozumiał i odwrotnie. Łatwe to nie jest, ale ostatecznie niechże ten „mówca” czegoś się jednak uczy, a nie tylko wychodzi i duka to, co mu ktoś inny napisał.

Pewnym jest jednak, że na światło dzienne sprawy zostawiać nie można. Nie można dopuścić, żeby ludzie rozumieli odwrótnie, to, co się im jako oczywiste prawdy przedkłada, żeby śmieć i nie w miejscach pełnych powagi, a zapałali w głęboką zadumę, kiedy rzecz jest warta dobrego śmiechu.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Żeby nam się chciało chcieć!

O czym ostatnio najczęściej się mówi? Ostatnio najczęściej mówi się o ochronie środowiska, o zdrowiu i o budownictwie mieszkaniowym. Z podziwem patrzyłem i słuchałem, jak ludzie pragnący przyjąć z pomocą dzieciom upośledzonym starali się być obecni na różnych zebraniach i mówić o nurtujących ich problemach. Ta obecność może im zaowocować pozytywnymi wynikami. Ich sprawy staną się sprawami społecznymi. Ludzie są zawsze wrażliwi na los ludzi upośledzonych, a co dopiero mówić o dzieci, udziela więc im poparcia, sygnalizując im pomoc w każdym inny sposób. Tylko, czy to rozwiąże do końca te trudne sprawy?

Pisałem niedawno o tym, że cała nasza cywilizacja w kraju nad Wisłą położonym — między Odrą a Bugiem — stworzona została przez ludzi zdrowych i dla ludzi zdrowych. Na świecie dawno już spostrzeżono, że społeczeństwo składa się nie tylko z ludzi zdrowych. W starożytnej Sparcie słabsze dzieci zrzucano się ze skały, aby nie przeszkadzały później — w wieku dojrzałym — ludziom zdrowym. Sparta była krajem wojowników. Potrzebni jej byli przede wszystkim i tylko wojownicy oraz zdrowe dziewczęta, które rodziłyby nowych wojowników. Ale to było dawno. Dzięki rozwojowi medycyny możemy ludziom przywracać zdrowie, ratować ich przed przedwczesną śmiercią, mimo kalectwa stworzyć możliwość życia w społeczeństwie ludzi normalnych. I tu się właśnie zaczyna problem.

Nasza cywilizacja nie uznaje ludzi niesprawnych. Wszelkie projekty budowlane tak publiczne, jak i mieszkalne tworzy się wyłącznie z myślą o ludziach zdrowych. W innych krajach tak się już nie postępuje. Można więc zapytać: jeśli inni mogą, dlaczego my nie? Niby, że kryzys. A co to ma do rzeczy? Chodzi przecież o rozwój myśli na ten temat. Tutaj kryzys nie ma do rzeczy. Wiele spraw można rozwiązać, wiele udogodnień można stworzyć, bez dodatkowych pieniędzy. Wystarczy niekiedy proste rozwiązania.

Na przykład Radio Polskie posiada wiele nagranych powieści w specjalnym, niemal teatralnym wydaniu: „Cichy Don” Michaiła Szolochowa, „Przemienieło z wiatrem” Margaret Mitchell i inne. Program III PR powtarza te powieści. Czy nie można byłoby nagrać je na taśmy i udostępnić te taśmy ludziom ośmiemniętym i niedosłyszącym.

Właśnie ludziom niedosłyszącym. Zwrócono mi niedawno uwagę, że ujęciem się za chrząkami, za ośmiemniętymi, a pominięciem zupełnie ludzi niedosłyszących. Są oni — jak mi tłumaczono — w sytuacji znacznie gorszej od innych. Gluchoniemi mają język migowy. Telewizja nadaje dla nich specjalne audycje. Niewidzący mogą posługiwać się bądź alfabetem wymyślonym przez Luisa Braille’a, bądź nagraniami na taśmie magnetofonowej. Ludzie niedosłyszący nie mają niczego takiego, a przecież też są ludźmi niepełnosprawnymi.

Owszem, mają aparaty słuchowe, które im poprawiają słuch i umożliwiają w miarę normalne życie. Ale takich aparatów jest mało, brakuje do nich baterii, aparaty te psują się. Teoretycznie problem wygląda na rozwiązany. Praktycznie wygląda to zupełnie inaczej. Nie wszyscy, którzy niedosłyszą mogą korzystać z takich aparatów.

A tu wokół toczy się normalne życie. W telewizji dają fajny film, ale pora jest późna i nie można aparatu telewizyjnego nastawić tak głośno, aby słowisko niedosłyszący mógł wszystko „normalnie” usłyszeć. Traci więc połowę tego, co czy-

ta lektor, albo traci połowę tego, co mówią aktorzy, jeśli film jest polski, albo jeśli podłożono polskie dialogi.

Z dźwiękiem w polskich filmach jest fatalnie. Polskie dialogi też nie zawsze docierają do ludzi dobrze słyszących. Myślę, że w przypadku ludzi niedosłyszących rozwiązaniem byłoby słuchawki. Tylko, że ich nie ma. Owszem można je jeszcze nabyć, ale za... waluty wymienialne, albo na bazarze. Tu byłoby potrzebne — być może — specjalne słuchawki oraz takie urządzenia, kiedy niedosłyszący słucha poprzez słuchawki odpowiednio wzmocniony dźwięk, a reszta normalny z głośnika telewizyjnego. W wielu aparatach jest to niemożliwe. Mają one takie urządzenia, że albo tylko słuchawki, albo tylko głośniki.

Takich — w gruncie rzeczy prostych — rozwiązań może być wiele. Nie trzeba tu nic tworzyć, na nic dodatkowo wydawać pieniędzy. Trzeba tylko, aby ktoś pomyślał i aby ten pomysł — często bardzo prosty — nie pozostał tylko pomysłem. Jak się zechce, to wszystko jest możliwe. Tak i w tym wypadku.

Imponują mi ludzie, którzy zechcieli zająć się dziećmi upośledzonymi. Właśnie zechcieli. I coś robią, choć im to nie przychodzi bez trudności. Dlatego nie mogą inni? Doprawdy, rozwiązanie wielu spraw leży w naszych możliwościach. Brakuje tylko chęci, wytrwałości, uporów i wiary, że to się musi udać. A bez tego wszelkie, nawet najlepsze pomysły zostaną tylko pomysłami.

Na zakończenie, aby nie było smutno, stary dowcip o Góralu na hali.

Leży na hali Góral i jęczy: — O, Jezu, Jezu!

— Co wam się stało, gazdo? — pyta przechodzący turysta.

— A nic! — spokojnie odpowiada Góral i dalej jęczy: — O, Jezu, Jezu!

— No, to czemu tak jęczycie?

— Ja nie jęczę, ja tylko mówię: — O, Jezu, Jezu jak mi się nie chce!

Zatem, aby nam się chciało!

ZENON POROWATY

3

Nagle zastępstwo

Stalinizm w tramwaju

Jak usłyszałem w radiu, warszawskie przedsiębiorstwo komunikacji miejskiej podniosło opłatę za jazdę bez biletu do wysokości 5 tys. złotych. Zapytałem przez reportera radiowego tramwajarza powiedział, że — jego zdaniem — taka opłata powinna wynosić tylko trzy tysiące. Nie wiem, jaka była kalkulacja przedsiębiorstwa i jaka tramwajarza. Wiem, że opłaty takie przedsiębiorstwa same sobie ustalają, a ich ewentualne zatwierdzenie przez jakąś władzę municypalną (jeśli w ogóle ma to miejsce) formalne jest i mechaniczne. Nie pochalam jazdy na gapę, ale zastanawiam się, do jakiej kwoty może dojść wyobraźnia i pomysłowość szefów komunikacji? Może sto tysięcy? Czemu nie! Najlepiej od razu z zamianą na sto dni aresztu... Karę będzie się odbywać w rzeczonym przedsiębiorstwie, gdzie delikwent będzie pracował przy myciu wozów.

Jestem człowiekiem starej daty i pamiętam jeszcze umundurowanych elegancko kontrolerów, którzy wsiadali do wa-

gonu i mówili głośno: — Dzień dobry, proszę przygotować bilety do kontroli. — Dawne czasy... Choć ostatnimi laty pojawiły się czapki na głowach kontrolerów, namiastka tego dawnego stylu.

Pies bowiem jest pogrzebany w sposobie opłacania tych funkcjonariuszy MPK — mają prowizję od wpłaconych do kasy przedsiębiorstwa kar. Reszta jest już oczywista: wprawdzie do ich obowiązków należy chyba także ocena stanu przystanków i wozów, kontrola punktualności tramwajów i autobusów itp., ale tak naprawdę to czyhają tylko na gapowicza, bo z tego żyją. Obserwowałem z bliska pracę kontrolerów iódzkiej MPK w końcu lat siedemdziesiątych. Nawet przez kilka godzin, ubrójony w kontrolerski znaczek sam próbowałem gorzkiego, kontrolerskiego chleba. Kontroler był wówczas zwykłym łapaczem, tajemnikiem, który pracował hucelowskimi metodami: czaił się, obserwował pasażerów, wreszcie rzucił się na upatrzonego delikwenta. Często z powodzeniem, jeśli miał trochę sprytu i intuicji. Reakcja pasażerów — nawet tych najporządniejszych — była w najlepszym razie niechęć i nieskrywana pogarda. Inni, zwłaszcza młodzież męska, robili sobie z tego zabawę. Konsekwentnie unikali kasownika i wymykali się z kontrolerskich siatek.

Wróćmy do opłaty za przejazd na gapę. Samowolne ustalanie jej wysokości przez zainteresowanego uważam za anachronizm, za szczególną odmianę arogancji władzy, a nawet „praktykę monopolistyczną”. Zupełnie podobnie poczyniła sobie nasza telefonia i telefonia. Lüksowe urządzenie, jakim jest w naszym kraju telefon, ma swoją cenę — 50 tysięcy. Właściwie za co? Wprawdzie można powiedzieć, że „wszystko jest towarem”, a za towar trudno dostępny płać się dużo. No tak, ale można to odwrócić: ktoś, komu zakładają telefon staje się automatycznie dobroczyńcą firmy telefonicznej, bo płać co miesiąc abonament i za przeprowadzone rozmowy. Na całym świecie takiego klienta się zachęca, nęci, namawia. U nas nie ma co namawiać, u nas klient gotów w ręce całować za założenie telefonu. I płać te 50 patyków w poczuć, że jest to coś w rodzaju zalegalizowanej łapówki. Emeryta, chorego na serce i samotnego, mieszkającego na dziesiątym piętrze nie stać na instalację telefonu — nie złoży, jego sprawa... Ejże?

Inny przykład, choć także z komunikacyjnego podwórka. Komu PKP zwróciła różnicę w cenie biletu na pociąg, choć pociąg miał opóźnienie i przyszedł jeszcze później niż osobowy? A komu zwróciła różnicę za bilet pierwszej klasy, choć całą drogę przestał na korytarzu? Może komuś zwróciła, ale po długich korowodach i udowadnianiu, że nie jest wielbiadem.

Przykłady można mnożyć, wybrałem tylko te najjaśniejsze. A przytaczam je po to, żeby wyartykułować pewną tezę, która może zabrzmić prowokująco, nawet śmiesznie. Jestem ożółdła, że takie praktyki, jak powyżej opisane, pchną mi z daleka jak relikty z lat pięćdziesiątych. Tak, tak! Samowola państwowych instytucji, traktujących obywatela przedmiotowo (płać i milczeć, bo jak nie to...) to jest typowy stalinizm w wymiarze mikro. W przypadku komunikacji miejskiej i PKP na dodatek mamy do czynienia z własnym niezależnym od czynników zewnętrznych aparatem ucisku, którego represji nie można uniknąć i nie ma praktycznie od nich odwołania.

Po co ja to piszę? No przecież nie jestem taki naiwny, żebym wierzył, że ten felieton coś zmieni. Ale użyłem sobie i jeszcze bardziej sobie uleż, kiedy dostanę obraźliwe listy od „małych stalinowców” z MPK, PKP, PKS, Dyrekcji Telefonów itp. Piszcie panowie, proszę bardzo.

ANDRZEJ KAROL

Przed świtem znowu był na walach i kazał ślać po Spicimirze.

— Kto umarł lub umrze? — zapytał.

— Przede wszystkim ci, którzy noszą białe szarfy, oni bowiem najgłośniejsze dopominają się, aby nad Helgundą i Aslakem odbył się sąd ludu.

— Znowu więc pojawił się mój rozkaz, choć nie został wypowiedziany — skinął głową Dago. — A umiesz jako ja, uciąć głowę jednym zamachem miecza?

— Tak, panie.

— Jutro rano mam wydać mojemu wojsku Helgundę i jej syna Aslaka, aby pozostali osądzeni. Wybierz sobie dziewczynę o pełnych biodrach, dużych piersiach i włosach kasztanowych. Ublierz ją w najpiękniejszą szatę Helgundy i na włosy włóż jej złotą przepaskę.

— Co dalej, panie?

— Jeśli już nie słyszysz rozkazów bez wypowiedzania słów, mój miecz utnie ci głowę.

— Usłyszałem, panie, twój rozkaz. Jutro na marach wyniosę z Gniazda i oddadzę twoim żołnierzom ciało Helgundy i ciało Aslaka, który leży smarły w zamkniętej komnacie.

— Czy wiesz, co do ciebie czeka, Spicimirze? — z uśmiechem zapytał Dago.

— Wiem, panie. Czuję, że mnie oburzono. — skinął się Spicimir i na swoich krzywych nogach ruszył w mrok dworskiego korytarza, aby odnaleźć dziewczę o pełnych kształtach i kasztanowych włosach.

Późnym rankiem otworzyła się brama Gniazda i Spicimir wyprowadził ośmiu pacholców, którzy na dwóch marach nieśli ciało Helgundy i Aslaka. Helgunda miała odciętą głowę takim zamachem jak gdyby to Piastun uczynił i twarz krwią zalana, Aslak chyba był martwy od zaryzy. Nie odbył się więc żaden wiec ani sąd ludowy. Rozwścieczeni żołnierze posiekali mieczami ciało Helgundy i Aslaka, następnie pokawałkowane zwłoki rzucili do jeziora na pożarcie drapieżnym rybom i rakom.

W południe sprostowano, że wielu leżących nieruchomo wojowników nie jest pijanych, ale martwych.

— Mor, Mor — rozległ się wrzask. — Z ciałem Aslaka przywieziono Mor.

I zaczęła się paniczna ucieczka w lasy i pola. Dopiero następnego dnia udało się Pałuce i Awdanowi zebrać rozproszone wojska i ustawić w karne szeregi. Żołnierze nie chcieli żadnych łupów z Gniazda, ponieważ wszystko, co stamtąd pochodziło wydawało im się zagrożone. Tylko nieliczni zdolali złapać żmije i pożyć ich surowe mięso. Nie obfitowały bowiem w żmije okolice Gniazda.

Wkrótce Pałuka na czele trzeciej części wojsk ruszył w kierunku Poznani, a Awdaniec na czele pozostałej części poszedł w kierunku Ładu, siedziby Łabędziów.

W południe w sierpniowym słońcu zasiadł Dago na wielkim tronie Popielowoskiego, który mu wyniesiono na podwórcze warowni. Za jego plecami stanęło kilku wiatyków, Lestkowie zaś w białych płaszczach tworzyli szpalier od bram warowni aż do tronu. Tak Dago przyjmował dary od zamożnych kupców i rzemieślników w Gnieździe, biorąc ich w swoje piastowanie. Otwarte skrzynie stały obok Dagona tak, że każdy który został wzięty w piastowanie, mógł złożyć do skrzyni swoje dary.

Przychodził więc do Piastuna kupcy z całymi rodzinami, a każda głowa rodziny miała w ręku mieczek ze złotym nuzmizmatami lub solidami, ze srebrnymi denarami lub monetami Ulegich. Przynoszono też grzywny srebrne, ozdoby srebrne i złote, całe lub polamane. Każdy kładł głowę pod poję białego płaszcza Piastuna, a ten mówił: 3882-A

— Oto biorę cię w swoje piastowanie i czynię człowiekiem wolnym.

Później zaś ten, co został

wzięty w piastowanie, otwierał mieczek i jego zawartość na oczach innych wysypywał do któregoś ze skrzyń. Od południa aż do wczesnego wieczoru struga srebra i złota, a także drogich kamieni, popłynęła do skrzyni Piastuna. Mówiono niekiedy, że od niepamiętnych czasów nikt tak nie ogłosił ludzi z bogactwa jak Piastun, ale czymże było bogactwo wobec wolności, jaką im ofiarował? Czy nie powstrzymał od rabunku swoich wojsk? Czy choć jeden mieszkaniec Gniazda ponosił szwank na zdrowiu? Czy sponęła jedna strzechy na którymś z domów?

Powiedział im, że Piastun, że nie skończy się na darach w złocie i srebrze, albowiem dla bezpieczeństwa mieszkańców podgródziła rozkazał wnieść wspólnym wysiłkiem jeszcze wyższy wał o jedną skrzynię drewnianą oraz ogrodzić wałem także i trzecie podgródzie. Czyż więc nie czynił wszystkiego dla

KALISIA

Pewnego dnia w porze kwitnienia wrzósów Dago Pan i Piastun weszli do siebie Kula i rozmawiał z nim bez żadnych świadków.

— Oto ty, Kulu — przypomniał głośno Dago — jako jeden z pierwszych w wiosce Pałuków, oddałeś się w moje piastowanie. Stchórzyłeś potem przed Dzikimi Kobiętami i dlatego nie doszedłeś do żadnych godności, choć poszedłeś ze mną przeciw Mardom, a także wdarłeś się ze mną do Gniazda. Pragnę teraz zapomnieć o tamtej winie i dać ci zadanie, które jeśli wykonasz, otrzymasz warownię i tytuł grodziozłotczy.

— Co mam uczynić, panie? — Kul przykleknął na prawe kolano.

— Dobierzysz sobie dwóch zaufanych ludzi i wezmiesz żywność na dwa dni konnej jazdy. Tej nocy Spicimir otwo-

— Słabość zwykłego człowieka nie nie znaczy. Słabość władcy oznacza słabość państwa.

— Masz rację, gdyż tego uczy sztuka rządzenia ludźmi. Nie wiesz jednak wszystkiego, Spicimirze. Władca, u którego skamieniało serce i nie ma doświadczania słabości, staje się okrutny i budzi tylko nienawiść. Nie chce, aby skamieniało jego serce, gdyż pewnego dnia może zostać rozciągnięty na torturach. Okrutny władca łatwo wierzy, że wszędzie czai się zdrada. Twoi ludzie w czarnych płaszczach budzą strach w Gnieździe, Bacz, abym i ja nie poczuł strachu...

— Ale przez twoją słabość, być może wkrótce czeka nas wojna.

— Skąd wiesz, że jej nie przagnę?

Skinął się Spicimir Dagonowi i odszedł w milczeniu. Pojął, że czeka ich nie jedna, ale wiele wojen, a jeśli skamienieje serce władcy, on pierwszy

słowa jak obęga.

— Zabiję się. Tak! mam rozkaz — powiedział Kul i wyciągnął miecz z pochwy. — Twoją głowę mam oddać Piastunowi.

Wzruszyła pogardliwie ramionami, odeła swoje małe czerwone usta w wyrazie pogardy.

— Oszukał was wszystkich Piastun, dając wam jako moje zwłoki jakieś dziewczki. A potem sycił się moim ciałem, was mając za głupców. Czy posiadacie kiedyś piękniejszą ode mnie kobietę?

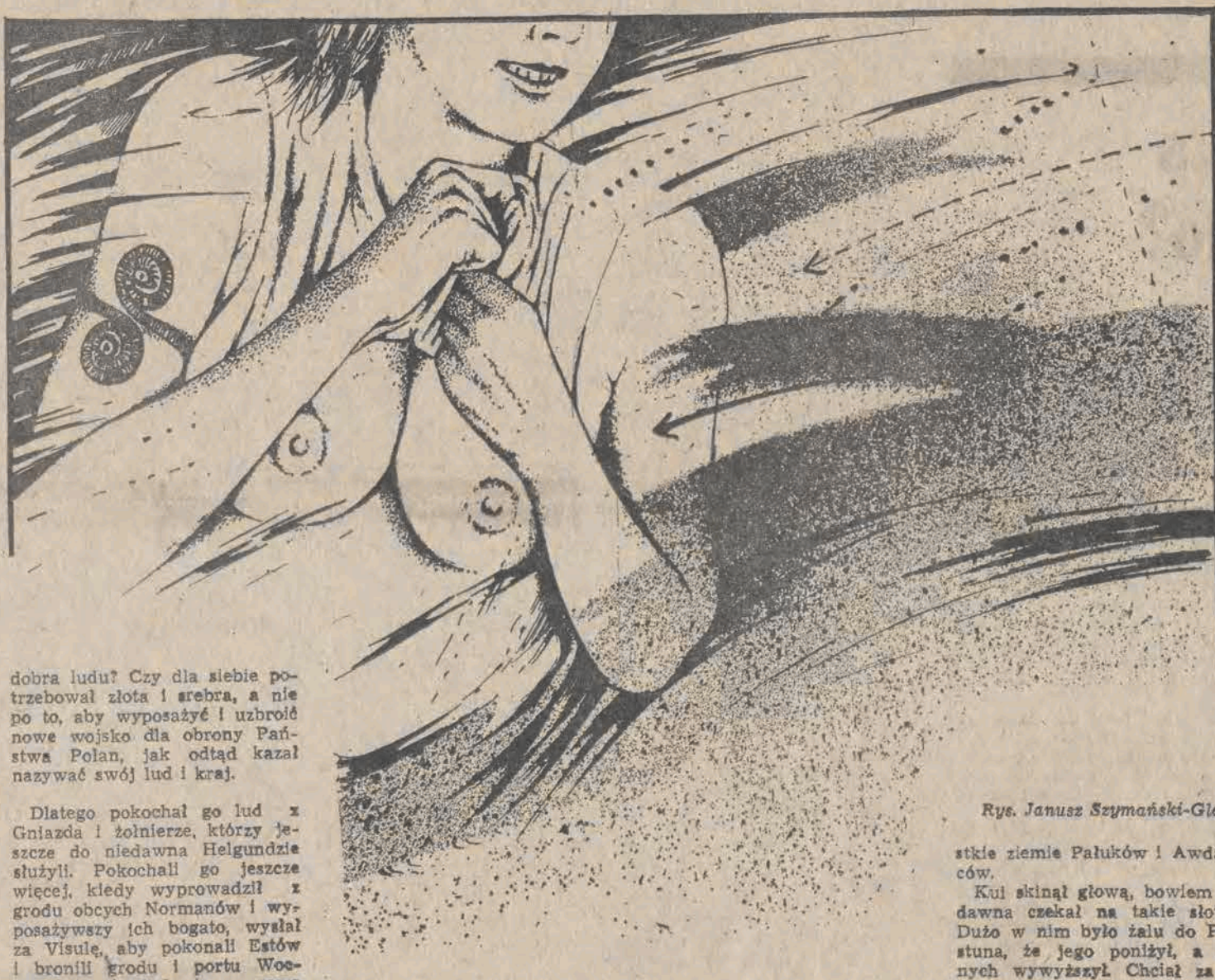
To powiedziawszy, rozpięła kaftan i ukazała mu swoje gołe ramiona, piersi i długą szyję.

— Będziesz mnie mógł mieć co noc, a potem dostąpisz najwyższych godności. Zaprowadź mnie jednak nie na śmierć, i nie do Jumna, ale do księcia Karaka. Potem wróć tutaj na czele jego wojsk i pokonaj Piastuna. Ty będziesz przy mnie i dostaniesz wszy-

(7)

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex



Rys. Janusz Szymański-Glanc

stkie ziemie Pałuków i Awdanów.

Kul skinął głową, bowiem od dawna czekał na takie słowa. Dużo w nim było żalu do Piastuna, że jego poniżył, a innych wywyższył. Chciał za to pomścić.

— Czy ufasz swoim ludziom? — zapytał.

— Tylko jednemu. Drugiego muszę zabić.

I gdy tamci dwaj wrócili z napałonymi końmi, Kul zabił jednego z nich przebijając go mieczem. Zabrał mu broń i konia, a następnie, zgasiwszy ogień, już tylko we trójkę, prowadząc luzaka, ruszyli na południe od zachodu omijając Gniazdo. Nie bardzo wiedział Kul, którego powinni wędrować do państwa Visulan, gdyż jeśli skierowaliby się bardziej na wschód, mogli wpaść w ręce Ludzi Skrzydlatych, jeśli zaś na zachód, groziło im spotkanie z wojskami Dagona, które ruszyły przeciw Duninom i Łabędziom.

— Udamy się do Kalisii nad Prosną — zdecydowała Helgunda. — Znam władcę Kalisii i mieniem Ibraim. Prosił mnie kiedyś o pomoc przeciw Karakowi I. Teraz panuje Karak II, a on będzie moim mężem. Umożliwię Ibraimowi, aby zawarł wieczysty pokój. Zapewne twoji Kalisjan rosnąca potęgą przedziwnego Piastuna i zapagnie mieć nowych przyjaciół. Zbyt blisko leży Kalisia od Gniazda, aby Piastun nie zechciał uszczknąć trochę jej bogactw, które zgromadziła przez wieki.

Jechali aż do świtu. Dzień spędzili w maceczniku leśnym i dopiero wieczorem podje-

dziesią podroń. Tego dnia w mroku leśnych drzew na kwitnących wrzósach Kul siłą pośladi Helgundę i poznał zadziwiający smak jej ciała. Nigdy w swoim życiu nie doznał z żadną kobietą tak niezwykłego i mocnego przeżycia. Najpierw, gdy ją chciał obnażyć i pojąć, krzyknęła „nie” z ogromną rozpaczą i zaczęła się bronić rękami, odpychając go od siebie. Po chwili jednak, gdy powalił ją na ziemię i zdzielił z niej skórzane spodnie wojownika, zobaczył białą brzość i krągłe uda z kępką rudego zarostu na łonie, zapragnął ją tak mocno, że brutalnie kolanami rosunął jej uda i wszedł w nią jednym silnym pchnięciem członka. A wtedy z nią stało się coś dziwnego: przestała się bronić, jej ręce opadły jak zwłoki łodyszy, pulchne czerwone wargi ukazały białe zęby i na twarzy pojawił się grymas rozkoszy. Jej ciało wprawiało się w ruch towarzyszący pchnięciom członka, poczuł jak chwytła go w sobie lekkim uciskiem, puszcza i znowu chwytła. Zobaczył iż rozkoszy w jej oczach i usłyszał jej radości. Pojął, że nie tylko sam doznaje niewysłowionej rozkoszy, ale i daje ją tej kobiecie. Dziewki, które dotąd posiadał, przyjmowały jego członka milcząco i w skupieniu jak gdyby nie mogąc się pozbyć watydy. Helgunda przyjmowała męczyznę jak gdyby ofiarowywał jej jakiś drogocenny dar i to właśnie wydawało mu się takie wspaniałe, zwiększało rozkosz.

A gdy się spełnili i zesunął się z jej ciała, poczuł omdlałość i pragnienie, aby za chwilę powtórzyć akt brania i dawania rozkoszy. Ale oto podniecone ich miłością towarzyszący mu wojownik, ścigał spodnie i runął na leżącą bezwładnie księżną. Wszedł w nią a w Kulu obudziła się zazdrość. Przebił mieczem wojownika ruszającego się na obnażonym łonie Helgundy i ją zbroczył krwią. Potem długo musiała się kapać w małym jezioru leśnym i wciąż czuła zapach ludzkiej krwi.

— Złe uczyniłeś, Kulu — oświadczyła. — Zabiłeś wojownika. Czy zdołasz mnie sam obronić?

— Wszystko dla ciebie uczynię, gdyż chcę mścić cię tylko dla siebie — odrzekł Kul.

Tego dnia w małej wiosce pod lasem zamienili jednego konia na chleb i żyta i na tłuścigo kapłona. To samo uczynili dnia następnego, zamieniając na żywność drugiego konia. A gdy znaleźli się nad rzeką Wartą, naciągł mieczem ogromne pęki siewa, przywiązał je do brzuchów koni i tak przepłynęli rzekę w miejscu, które wyglądało na najpiękniejsze. Odtąd Kul kierował się ku południowi poprzez ogromną puszcze, zmierzając ku grodzi Kalisia. W jakiejś wiosce zamienił broń zabitych wojowników na żywność, ale tym razem po tej wymianie ruszyła za nimi pogoń miejscowych ludzi, którzy zapagnęli go ograbić. Konie Helgundy i Kula były jednak wypoczęte i bardzo szybkie — najszybsze konie wybrał Kul, gdy szykował się, aby wykonać rozkaz Piastuna. Uciekli, zdołali przeprawić konie dnem małego strumienia, w ten sposób zacierając za sobą ślady.

Odtąd jechali już za dnia, wolno i ostrożnie, omijając wioski przez co droga im się wydłużała. Dopiero na trzeci dzień ujrzeli nagle przed sobą jeźdźca uzbrojonego w miecz, tarczę i oszczep, w żelaznej kolczudze i kopulastym hełmie z czterech blach zrobionym. Gdy rzucił konia w galop, aby natrzeć na Helgundę i Kula, koń Helgundy się spłoszył, rzucił ją z siebie, a potem wpadł w wykrot i złamał nogę. Kul zabił napastnika, lecz jego koń umknął w puszcze.

C.D.N